

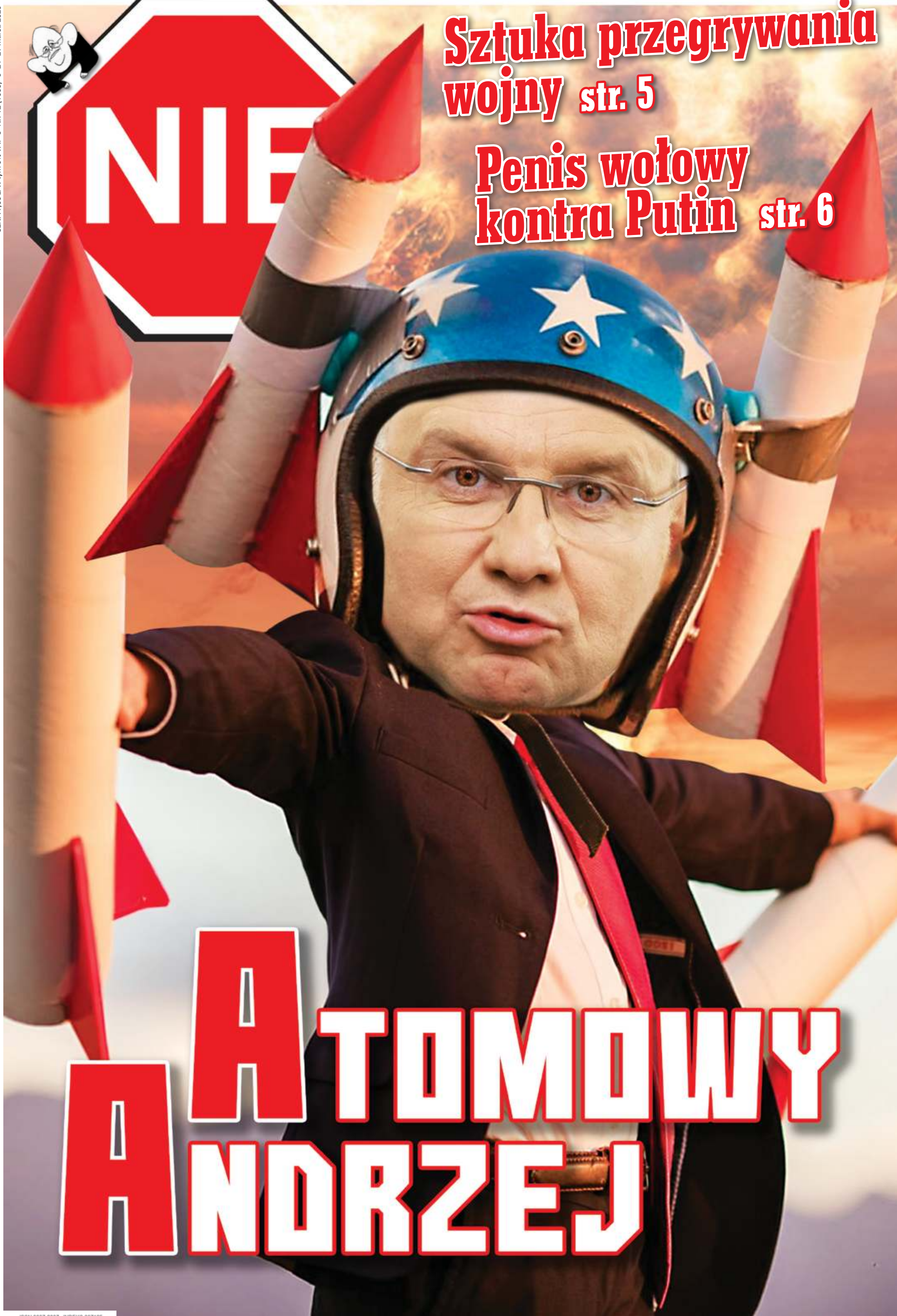
Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 12 (1800) • 21-27 marca 2025



Sztuka przegrywania wojny str. 5

Penis wołowy kontra Putin str. 6



A A T O M O W Y A N D R Z E J



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Marian Banaś, nie bez niejkiej satysfakcji, poinformował, że Ziobro kupił sobie system do białego wywiadu Hermes za 15,5 bańki, bez przetargu, pod pretekstem – a jakże – ochrony bezpieczeństwa publicznego. NIK wykryła też, że co ważniejsi prokuratorzy kazali – na głę – grzebać Hermesem w socjalach ludzi, którzy im się nie podobali; czyli głównie antypisowców. Przy okazji okazało się, że jedna analiza tzw. otwartych źródeł – czyli coś, co można zrobić ręcznie za darmo – kosztowała 40 tys. zł. Jako wisienkę na torcie Banaś podał, że Ziobro kazał Hermesem szukać dowodów na sfałszowanie wyborów z 15 października – ale nie znalazł. To ostatnie szalenie podnieciło członków komisji ds. Pegasusa. „Jest absolutnie wstrząsające, że już po wyborach 15 października środowisko pana Ziobro próbowało skrócić w jakimś stopniu próbę unieważnienia tamtych wyborów” – tokował Marcin Bosacki. I wyjaśniał: „Zlecono przy użyciu zasobów Hermesa wyszukiwanie nieprawidłowości podczas procesu wyborczego i referendalnego”. Wyszukiwanie nieprawidłowości nie jest jednakowoż zbrodnią samą w sobie.

♦ Prokurator Ewa Wrzosek w towarzystwie mecenasa Du-bois i jeszcze jednego adwokata od Giertycha przesłuchiwała Barbarę Skrzypek, dzięki „Uchu Prezesa” znaną całej Polsce jako „pani Basia”. Trzy dni później p. Skrzypek zmarła na zawał. PiS natychmiast ruszył do funeralnego tańca chocholego; Jarosław Kaczyński ogłosił, że jego była sekretarka jest „pierwszą ofiarą śmiertelnej demokracji walczącej”. Druga strona nie pozostała dłużna; Ewa Wrzosek ogłosiła, że „wobec wszystkich osób”, które wydają komunikaty „sugerujące, że śmierć Pani Barbary Skrzypek pozostaje w związku przyczynowo-skutkowym z czynnością przesłuchania” p. Wrzosek „podejmie zdecydowane i adekwatne kroki prawne”. Nie dodała wskazze, czy jako obywatelka Wrzosek, czy jako prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie – a to jednak pewna różnica. W całej tej wybitnie niesmacznej awanturze wyróżnił się głos szefa gabinetu prezydenta Dudy, Marcina Mastalerka, który odnotował, że pani Basia była najjaśniejszym punktem „w tym kłębowskiu zmij, pełnym intrygantów”. My też nie myślimy najlepiej o Nowogrodzkiej, ale żeby aż tak szczerze...

♦ Karol Nawrocki napisał w 2018 r. biografię gangstera za-tytułowaną gustownie „Spowiedź Nikosia za grobu”, pod pseudonimem Tadeusz Batyr. Wszyscy są szalenie ubawieni, bo po wydaniu książki Nawrocki poszedł do TVP3 Gdańsk, gdzie ze zmienionym głosem i zamazaną twarzą opowiadał o historyku Karolu Nawrockim, który „zainspirował go do pracy”. Historyk Karol Nawrocki z kolei napisał na socjalach: „Tadeusz Batyr zgłosił się do mnie po kilka wskazówek dotyczących uwikłań Nikosia; za ich udzielenie podziękował ciekawą książką, którą polecam”. Kiedy tożsamość pisarza Batyra wyszła na jaw, dr Nawrocki ogłosił: „Miliśmy w Polsce tylko jednego historyka, który miał odwagę zajmować się przestępczością zorganizowaną w czasach PRL. Ja byłem tym historykiem”. Może niekoniecznie miał pan odwagę, skoro pisał pod pseudonimem i występował w TV z zamazaną twarzą? A tak nawiasem mówiąc: Batyr – Батыр – to mongolski tytuł honorowy oznaczający mniej więcej tyle, co „bohater”. Skromność zdobi chłopczyka.

♦ Agencja Reutersa doniosła, że litewski prokurator badający sprawę podpalenia Ikea w Wilnie powiedział, że zrobili to ci sami opłacani przez Rosję dywersanci, którzy podpálili halę targową na Marywilskiej w Warszawie. „Drody sojusznicy, dochodzenie litewskiej prokuratury potwierdziło nasze podejrzenia, że za podpalenie centrów handlowych w Wilnie i w Warszawie odpowiedzialne są rosyjskie służby specjalne. Dobrze to wiedzieć przed negocjacjami, taka jest natura tego kraju” – napisał na X z wyraźną Schadenfreude Donald Tusk. Chwilę potem Reuters zdementował swoją depeszę, wyrzucając wątek Marywilskiej. A tak swoją drogą, to co Wam się wydaje bardziej prawdopodobne: czy to, że GRU zatrudnia ukraińskich amatorów do podpalania pozbawionych znaczenia strategicznego obiektów handlowych na peryferiach wschodnioeuropejskich miast, czy też może, że są to zwykłe gangsterskie porachunki, a złapani podpalalce mówią to, co chcą usłyszeć przesłuchujący – co z ich punktu widzenia ma taką dodatkową wartość, że żaden gangus nie sprzedaje im w więzieniu kosy za sypanie? Tak tylko pytamy...

♦ Sławomir Mentzen jedzie po bandzie. Zapytany pod Pałacem Prezydenckim, czy nadal nie chce Żydów i Unii Europejskiej, odpowiedział pytaniem: „Czy możemy prosić o mądrzejsze pytania?”. Żydowski docwip nam się przypomniał: sędzia mówi do świadka, który ciągle miga się od odpowiedzi: „To jest okropny żydowski zwyczaj odpowiadania pytaniem ma pytaniem!”. „Tak pan sędzia sądzi?” – odpowiada świadek.

AWL

Danielowi
Dzielińskiemu
śmierci Ojca
serdecznie współczują
przyjaciele z „NIE”

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Marzec 2013 r.



Świętego Jeana

Premier Tusk powiedział, że jego zadaniem jest budowanie mostów i podgrzewanie wody w kranie. Rząd nie będzie napędem modernizacji kultury, mentalności, obyczajów. Wspomoże zmiany, kiedy społeczeństwo je poprze. Lokowanie zmian nie w głowie, lecz w ognie spotkało się z krytyką liberałów oczekujących od rządu przywództwa i wyprzedzania dominujących poglądów. Dołożę do tego jeszcze jedną uwagę krytyczną. Krajowi nie jest potrzebna władza zachowawcza, która buduje gdzie indziej wymyślone mosty i autostrady za pieniądze krajów innowacyjnych. Polska nietworząca postępu cywilizacyjnego skazana jest na drugorzędność. Nie jest zaś zdolne do innowacyjnej twórczości społeczeństwo zasklepione w tradycjonalizmie. Homofob, gospodyni domowa, miłośnik teatru Fredry, profesor zapładniany myślowo przez niedzielne kazania nie wymyślą np. samochodu napędzanego moczem kierowcy ani sposobu genetycznego tworzenia pomysłowości człowieka. Tusk jest królem sadzawki.

Świętej Franciszki

Gdybym miał sześć lat, to z moimi umiejętnościami 80-latką raczej nie dostałbym się do I klasy szkoły podstawowej. Potykam się przy rozwiązywaniu testu będącego sprawdzianem, czy dorosłem do szkoły. Owszem, umiem odróżnić pięć jabłek od czterech, a też wydaję mi się, że trzy cukierki plus jeden dają cztery. Ale już szlaczków nie pociągnę. Potrafię zostać bez rodziców i sam przestać płakać. Nie umiem jednak przegrywać bezboleśnie i ponawiać prób. Nie reaguję na polecenia wydawane zbiorowością. Nie lubię poznawać nowych rzeczy ani nie jestem pogodny. Nie umiem skakać na jednej nodze, chodzić po krawężniku, jeździć na rowerze ani biegać. Z drugiej strony umiem

się umyć i ubrać (ale niemodnie), sam chodzę do klozetu i potrafię się przedstawić. Mam z tym jednak kłopoty, bo niekiedy przedstawiam się osobom, które znam. Zasad i norm nie przestrzegam, raczej więc zostanę w przedszkolu, a nawet mogę być cofnięty do żłobka.

Świętego Viviena

Minał dzień litości dla kobiet, które są uciemiężone. Zona Daniszewska kazała mi iść i wyrzucić kwiaty, które kupiła sobie 8 marca.

Cd. świętego Viviena

Gdy trzeźwy, zdrowy na umyśle człowiek kładzie się w poprzek na szynach, trudno współczuć, że go pociąg przejechał. Tyle à propos łkania po śmierci himalaistów. Wielu ludzi drapie się na szczyt, ale najmniej rozumiem tych, którzy tę przenośnię traktują dosłownie.

Wiadomość o zamordowaniu harfistki także nie była wstrząsająca. Harfa to bardzo nudny instrument, zabójstwo jest więc zapewne dziełem melomana.

Znów świętego Viviena

Istnieją książki wydawane w drugim obiegu. Co to jest drugi obieg, znajdziecie w Wikipedii. Chciałem przeczytać książkę Anny Sobór-Świdarskiej „Jakub Berman – biografia komunisty”. Kto to był Berman, znajdziecie w Wikipedii. Książkę wydał IPN w roku 2009, zatem jeszcze za prezesury wściekłego antykomunisty Kurtyki. Nie można jej kupić w księgarniach, w internecie, w antykwariatach. IPN oświadczył, że nie ma ani egzemplarza. W końcu pożyczono mi ten tom nielegalnie z biblioteki dla wybranych. IPN wydał biografię i ją unicestwił, ponieważ książka jest rzetelna, obiektywna, nienapastliwa. Nawet ja jako komuch chwilami miałem poczucie, jak gdyby autorka zakochała się w Bermanie – skądinąd pięknym mężczyźnie.

Podsumowaniem roli bohatera był proces jego podwładnych – funkcjonariuszy bezpieczeństwa – który odbył się w 1957 r. Sobór-Świdarska pisze o nim, że mowa była o łamaniu prawa i niedozwolonych metodach śledczych, podczas gdy ponad 100 świadków opisywało szczegółowo straszliwe tortury i całkowicie bezprawne więzienie. Piszę, że świadek Berman na procesie zasłaniał się niepamięcią. Nie wspomina o reakcji podsądnych, wybuchowo zarzucających swojemu szefowi tchórzostwo, nielojalność, kłamstwa. Autorka ogólnikami wygładza, a właściwie pomija dramatyczny finał władzy Bermiana.

Gdyby jakiś biograf napisał, że Heinrich Himmler nie lubił Żydów i wyrządzał im znaczne przykrości, to także by przecież nie kłamał.

W IPN cenzura czasem przyspi, ale się budzi.

Świętej Rozyny

Episkopat po chamsku, brutalnie łamie konkordat, wymuszając na państwowym urzędzie (KRRiT) decyzję zgodną z wolą Rydzyka w sprawie jego Telewizji Trwam.

Rząd zawierał konkordat z Watykanem i tam powinien głośno protestować przeciw wkraczaniu biskupów w domenę państwa. Oczywiście to się nie stanie. Telewizja Trwam dostanie, czego chce, i wtedy ruszy lawina kościelnych żądań. Bóg jest zawsze głodny.

Świętego Rodryga

Jarosław Kaczyński tak bardzo pragnie, żeby jego brat bliźniak był zamordowany, że byłby niebezpieczny dla Lecha, gdyby ten żył.

Świętej Matyldy

Nadciąga 10-lecie afery Rywina. Miller obmyśla już okolicznościowe żarciki dla mediów. Ćwicz też uśmiech, żeby nie był kwa-

śny. Sprawa Rywina jest już w podręcznikach szkolnych. Aktorzy mają się dobrze: Rywin, Michnik, Rapaczyńska, która wróciła do władzy. Miller, który dźwignął się z politycznego grobu. Robert Kwiatkowski, Ziobro. Politycznie polegli tylko Jakubowska i główny pozytywny bohater zdarzeń Jan Maria Rokita. Bo też mądry goj, będąc w PO, żeni się z panią Applebaum. Czyż wyobrażacie sobie Nelly R. jako przyszłą first lady?

Świętej Matyldy

Pisowcy przeciwni ateizacji zaatakowali kabaret Limo i podbili mu limo. Wymusili oni przeprosiny TVP za puszczanie spektaklu, w którym satyrycy powiadali, że papież pierdzi, a moherowe berety mogą zostać terrorystkami. Przeciwnicy ateizacji sądzą, że Limo obraża katolików. To prawda, gdyż to w ogóle Kościół obrażonych na świat. Jednakże Limo wątpiło, czy anioły niosą do nieba papieskie baki dopiero około północy. O tej porze katolik już odmówił paciorków, spróbował zapłodnić zonę i śpi. Tylko my, ateści, pijemy, ćpamy, uprawiamy wolny seks i cieszymy się kabaretem Limo.

Świętej Luizy

SLD będzie spółkować z Ruchem Palikota pod wodzą Kwaśniewskiego, ale bez Janusza Palikota, ponieważ jest to lider konkurencyjny dla Millera. Jednak bez Palikota rozpadnie się ruch jego imienia. Palikot gotów jest zaś bratać się z Millerem, gdyż wie, że to lider bez przyszłości, ale Miller odmawia, słusznie sądząc, że straci wtedy przywództwo w SLD. Miller więc wyrasta i dojrzewa jak drzewo na środku autostrady. Nie potrzeba Tu-154, żeby zawadzić je skrzydłem. Wystarczy skrzydło kaliskie w SLD.

□

PRAŚA ŚNIADANIOWA

- **Jarosław Kaczyński** zarzucił „Super Expressowi” kłamstwa. Jarosławie Kaczyński, czy dzik sra w lesie?
- **Krzysztof Bosak** oburzył się na multikulti, gdy na ulicy minął go hindus w turbanie pedałujący na rowerze. Racja, hindus powinien przemieszczać się na latającym dywanie.
- Jak donosi **Watykan**, terapie poprawiają stan papieża. I tak Watykan zaprezentował kompletny brak wiary.
- **Karol Nawrocki** powiedział, że żyjemy w kraju demokracji warczącej. **Tadeusz Batyr** potwierdził.
- **Kasia Tusk** ubolewa nad brakiem zrozumienia internautów co do jej endometriozy. Szkol i niedowierzanie, że internauci nie są gentelmanami!
- **Zenek Martyniuk** reklamuje dubajską czekoladę za ponad 100 złotych. To nie jest tania impreza.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIOŚL

Szanowna Redakcjo

Z dużym zdumieniem, a jeszcze większym zażenowaniem wysłuchuję medialnych informacji o szkoleniu wojskowym (obowiązkowym/dobrowolnym) dorosłych Polaków. Mówi się zwykle o mężczyznach, choć są deklaracje, że niektóre z kobiet także chciałyby brać w takowym udział. Rządzący, ustami Premiera i Ministra Obrony Narodowej, zapowiadają, że takie szkolenie może już się rozpocząć już w 2026 r. i obejmie 100 000 chętnych rocznie. Mężczyzn w wieku 18–59 lat (wg GUS) jest w Polsce ponad 10 000 000 – zakładając, że wszyscy z nich, kierując się patriotyzmem, zgłoszą chęć takiego przeszkolenia, to większość z nich tego po prostu nie dożyje. Z prostego powodu – potrwą to wszystko 100 lat.

Zbyszek z Wrocławia

Pan Piotr Ikonowicz napisał: „Wychodzi więc na to, że mamy jak w banku rząd sklecony z Konfederacji i PiS”. Trafione w punkt. Dlatego też proponuję, aby w ostatnim tygodniu miesiąca pojawił się w Waszym tygodniku zegar/kalendarz – „Do końca kadencji (ostatniej wieczery) zostało 31 miesięcy”. Taki kalendarzyk/zegareczek przysła mi wydanym wyborcom, jak również uchachanej koalicji. Ci drudzy będą mogli sobie sprawdzić, ile im zostało czasu do zrobienia grupowego zdjęcia, bo w tak zajebytym towarzystwie już się nigdy nie spotkają.

Robert z Płocka

Artykuł prof. Werblana w „NIE” 10/25 na „przedniej trójce” jak zwykle kompetentny, mądry i wyważony. No i pogratulować (oraz pozazdrościć) sprawności i kondycji. Chciałbym tylko tytułem dopowiedzenia zwrócić uwagę na stwierdzenie w trzeciej szpalcie tuż pod rączką („Ich konflikt z Polską był racjonalny, lecz metoda zbrojna (1918) i terrorystyczna (1930–1939) były dla Ukrainy szkodliwe; dużo więcej dałaby metoda biernego oporu”...). Chciałem zwrócić uwagę, że część patriotów ukraińskich (także melnikowcy) realizowała strategię „pracy organicznej”, rozwoju gospodarczego i kulturalnego wsi ukraińskich. Autentyczny przykład wsi ukraińskiej Suchawa nad Włodawką koło Włodawy: w tej wsi organizatorem działalności gospodarczej, a z czasem też kulturalnej, był nauczyciel ukraińskiej 4-klasowej szkoły podstawowej. I to była prawdopodobnie najważniejsza metoda zmierzająca do „wybicia się na niepodległość” przez kraj, który spóźnił się z rozwojem społecznym w chwili okazji, jaką stanowił rozpad XIX-wiecznego porządku politycznego. (...)

Pozdrawiam
Stefan Szpalarski

To PiS pozwoliło Wrzosek przesłuchiwać Skrzypek bez адвоката

Jak Ziobro pościelił pani Basi

Nim opadnie pierwszy kurz po pisowskim tańcu na trumnie Barbary Skrzypek, warto zaznaczyć, że ci, którzy najgłośniej krzyczą o niedotrzymaniu standardów prokuratorskiego przesłuchania, sami są winni zaniechania regulacji prawnych w tym zakresie.

Temat zgonu rozślawionej przez „Ucho Prezesa” pani Basi z Nowogrodzkiej jeszcze długo będzie grzany jako dowód tuskowo-bodnarowskiego bestialstwa. Tymczasem w czeluściach biuletynu informacji publicznej rzecznika praw obywatelskich można znaleźć akta, które rzucają nieco inne światło na kolejną funeralną orgię kaczystów.

Jak wiadomo, Barbara Skrzypek zesła z tego świata kilka dni po przesłuchaniu jej przez prokurator Ewę Wrzosek w sprawie dwóch wień Kaczyńskiego. Sam prezes Prawa i Sprawiedliwości w trybie pilnym skonstruował przekaz, w którym winą za zaistniałą sytuację obarczył haniebną w jego mniemaniu decyzję prokuratury o niedopuszczeniu do udziału w przesłuchaniu adwokata Barbary Skrzypek. Pełnomocnik przesłuchiwanego mec. Krzysztof Gotkiewicz wydał oświadczenie, w którym gęsto się tłumaczył, iż mimo wyraźnej informacji o złym stanie zdrowia świadka oraz obecności dwóch pełnomocników zawiadamiającego – co mogło być odczytane przez Skrzypek jako wywołanie presji – prokurator przesłuchujący odmówił mu uczestnictwa w czynnościach.

„Prokurator może podjąć taką decyzję, w tym przypadku wiemy, o kogo chodzi. Rola pani Ewy Wrzosek w tym przesłuchaniu była bardzo ważna i tragiczna” – podsumował skwapliwie Kaczyński, po czym przez Polskę ruszyła lawina prawicowego fermentu. Dowcip polega na tym, że przepisy, na których śliza się po śmierci koleżanki Kaczyńskiego PiS, to efekt zaniechań Ziobry i uszytego przez prezesa Trybunału Konstytucyjnego.

W październiku 2018 r. ówczesny RPO Adam Bodnar wystosował do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry pismo w sprawie poprawy stanu prawnego osób, którym prokurator odmówił ustanowienia pełnomocnika do przesłuchania



w trybie przepisu art. 87 § 3 Kodeksu postępowania karnego.

Artykuł ów mówi, że „sąd, a w postępowaniu przygotowawczym prokurator, może odmówić dopuszczenia do udziału w postępowaniu pełnomocnika, o którym mowa w § 2, jeśli uzna, że nie wymaga tego obrona interesów osoby niebędącej stroną”. Gwoli wyjaśnienia, wedle § 2 „osoba niebędąca stroną może ustanowić pełnomocnika, jeżeli wymagają tego jej interesy w toczącym się

postępowaniu”. Przekładając z prawniczego na polski, jeśli świadek uzna, że jego dupa będzie bezpieczniejsza w towarzystwie adwokata, może stać się z nim na przesłuchanie. Natomiast prokurator może mieć w tej kwestii inne zdanie i papugę wystawić za drzwi; tak właśnie – wedle świadectwa Kaczyńskiego i podległych mu wyznawców – stało się w warszawskiej prokuraturze 12 marca br.

Przedstawiony przez Adama Bodnara w piśmie do Ziobry problem nie był świeży. Z prośbą o wydanie opinii w powyższej kwestii już we wrześniu 2014 r. zwrócił się do Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego ówczesny minister sprawiedliwości Cezary Grabarczyk. Komisja w maju 2015 r. wyraziła krytyczne stanowisko wobec przepisu art. 87 K.p.k w istniejącej formie, a następca Grabarczyka, Borys Budka, przyjął argumenty RPO co do konieczności podjęcia działań legislacyjnych zmierzających do jego nowelizacji.

Co więcej, zmiana ta – jak wskazał minister sprawiedliwości – miała być pilnie wzięta pod uwagę przy pracach nad planowaną nowelą Kodeksu postępowania karnego. Chwilę później rządy PO-PSL przeszły do historii, a nowa władza temat olała. Sprawa co prawda trafiła nawet przed Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej, została jednak umorzona postanowieniem z dnia 6 czerwca 2018 r. z – uwaga – przyczyn formalnych.

Bodnar, ponaglaając Ziobrę do działań, zwrócił mu uwagę, że prawo do profesjonalnego pełnomocnika powinno przysługiwać również osobom innym niż podejrzani czy oskarżeni, a odpowiednim i skutecznym środkiem naprawczym w przypadku naruszenia ich praw w tym zakresie powinna być, w jego przekonaniu, możliwość złożenia zażalenia na decyzję do sądu. Bodnar podkreślił, że prokuratorska odmowa dopuszczenia do udziału w postępowaniu przygotowawczym pełnomocnika osoby niebędącej stroną ingeruje w konstytucyjnie chronione prawa – a na deser powołał się na standardy prawa europejskiego. Ziobro miał te wszystkie argumenty w dupie – nie wiadomo, który najgłębiej – bo w perspektywie meblowania porządku prawnego na kaczą modłę wszystko, co odstawało od wyżej wymienionych wartości, było mu zwyczajnie na rękę. Abstrahując od domysłów, intencji i mnożących się teorii spiskowych można zatem uznać, że zasada *dura lex sed lex* zadziałała i pożarła swoje dziecko.

IDALIA DUBICKA

Demokracja z zapałkami

Wrzosek w ogóle nie powinna przesłuchiwać Skrzypek

Idalia Dubicka ma oczywiście rację: to PiS, ze szczególnym uwzględnieniem Ziobry, odpowiada za to, że prokurator Wrzosek miała prawo wywalić za drzwi mecenasa Gotkiewicza, zostawiwszy „panią Basię” na pastwę swojej i dwóch innych socjuszy Giertycha. Oczywiście rację mają też ci, którzy są oburzeni cynizmem, z jakim PiS używa śmierci Barbary Skrzypek do walki politycznej; choć po Smoleńsku raczej nie powinni być tym zadziwieni.

Jednak byłabym ostrożna z ustawianiem Ewy Wrzosek w roli nękannej dziewczyny.

Zaufanie do bezstronności

Kiedy po śmierci p. Skrzypek dziennikarze pytali czynowników PO, czy Ewa Wrzosek powinna prowadzić sprawę przeciwko PiS – słyszeli, że prokurator Wrzosek była dyskryminowana za poprzedniej władzy, więc nowa jej dyskryminować nie pozwoli. Głupota tego zdania nie powinna nam przesłonić jego doniosłości: poszczucie p. Wrzosek na Prawo i Sprawiedliwość wydaje się w PO traktowane jak nagroda za antypisowską postawę, a także odszkodowanie za straty moralne; coś, co jej się „po prostu należy”. Pytanie, gdzie w tym wszystkim mieści się dobro wymiaru sprawiedliwości, jest oczywiście retoryczne. Podobnie jak to dotyczące art 96 par. 2 Prawa o prokuraturze: „Prokurator powinien w służbie i poza służbą (...) unikać wszystkiego, co mogłoby (...) osłabiać zaufanie do jego bezstronności”. Czy jest w Polsce ktokolwiek, kto miałby zaufanie do bezstronności prokurator Wrzosek?

Nawet tak zdeterminowany wróg pisizmu jak

prof. Andrzej Zoll, zapytany o jej udział w sprawie dwóch wień, odpowiedział ostrożnie: „Gdybym był szefem pani Wrzosek albo był panią Wrzosek, to bym nie występował w tej sprawie. To jest błąd. Powinna nie przyjmować tej sprawy”.

Ostrożny symetryzm Zolla zdaje się podzielać większość prawników – także tych antypisowskich. Ale nie wszyscy. Prof. Marcin Matczak w „Gazecie Wyborczej” opublikował dziwny tekst zatytułowany „Nie ma »ale« w walce z kłamstwem”.

Trzy pizze i piraci

Matczak osobiście atakuje dziennikarzy prezentujących postawę niedostatecznie prowrzosekowską. W tym Patryka Słowika, autora bardzo wyważonego komentarza na Wirtualnej Polsce. „Ludzie PiS publikują jej zdjęcia z podpisem »Morderczyni«, a Pan przypomina ministrowi Bodnarowi, że konstrukcja przepisów o niewpuszczeniu pełnomocnika na przesłuchanie świadka jest wadliwa?” – oburza się Matczak. „I naprawdę dla Pana wiązanie przesłuchania ze śmiercią to tylko »daleko idąca przesada«? Przesada to jest wtedy, jak ktoś zje trzy pizze” – iro-

nizuje subtelnie profesor. Nie jest to zresztą jedyne błyskotliwe porównanie, do którego ucieka się wybitny prawnik – pisze on też, że ci, którzy wiążą rozległy zawal p. Skrzypek ze stresem podczas przesłuchania, są jak zwolennicy „teorii, że globalne ocieplenie wynika ze spadku liczby piratów na świecie”.

„Serio” – dodaje Matczak – „Jest nawet wykres, który pokazuje, że im mniej piratów na morzach, tym wyższa średnia temperatura na Ziemi. Czy to oznacza, że ratowanie klimatu wymaga powrotu do czasów Czarnobrodęgo?”

Tak dla porządku: tu nie ma nic „serio”. Wykres wiążący globalne ocieplenie z liczbą piratów służy właśnie do wykazania, że korelacja nie oznacza przyczynowości i został stworzony przez Bobby’ego Hendersona, który wymyślił też Latającego Potwora Spaghetti. Prof. Matczak, żarliwy katolik, najwyraźniej nie rozumie, że można żartować z religii – co samo w sobie jest, przynajmniej, zabawne.

Nieco mniej zabawna jest inna matczakowa metafora – ta, która zestawia krytykowanie Ewy Wrzosek za niedopuszczenie adwokata Barbary Skrzypek do przesłuchania z wypowiedziami: „Oczywiście gwałt to przestępstwo, ale po co tak się ubierała?” oraz „Oczywiście pobicie geja to haniebny czyn, ale po co się tak afiszował?”. Inaczej mówiąc, prof. Matczak uważa, że internetowe obelgi, które spotkały prok. Wrzosek, to krzywda na miarę gwałtu albo skatowania na ulicy. To jednak dość niepokojące zestawienie.

Ogień ogniem

Poświęcam tyle uwagi wywodom Matczaka, ponieważ są one charakterystyczne dla „demokracji walczącej”. Nie jest to wbrew powszechnemu mniemaniu koncept autorski Donalda Tuska – autorem idei jest niemiecki konstytucjonalista żydowskiego po-

chodzenia Karl Loewenstein, który po dojściu Hitlera do władzy wyemigrował do USA i tam w 1937 r. opublikował dwa eseje poświęcone upadkowi Republiki Weimarskiej. Jego główna teza jest taka, że trzeba „zwalczać ogień ogniem”; że do walki z ugrupowaniami niedemokratycznymi, które zdobywają władzę w demokratyczny sposób, państwo powinno używać niedemokratycznych metod – represji, ograniczenia swobód, zawieszenia praw obywatelskich.

W tym miejscu warto odnotować dwie kwestie. Pierwsza jest taka, że rozwiązania, które 90 lat temu mogły wyglądać w pełni racjonalnie w oczach Żyda, który uciekł z hitlerowskich Niemiec – niekoniecznie pasują do realiów Unii Europejskiej trzeciej dekady XXI w. A Prawo i Sprawiedliwość – przy całej swojej obrzydliwości – to nie jest NSDAP.

I druga: otóż Loewenstein definiował faszyzm jako zastąpienie rządów konstytucyjnych przez rządy emocjonalne. Narzędziem budowania tego politycznego emocjonalizmu – twierdził pionier „demokracji walczącej” – jest, oprócz nacjonalistycznego entuzjazmu, stały przymus psychiczny, niekiedy sprowadzający się do zastraszania.

Otóż narracja, której czołowym przedstawicielem jest prof. Marcin Matczak – jak wam nie wstyd krytykować prokurator Wrzosek?! – jest takim właśnie zabiegiem emocjonalnego zastraszania, który ma odwrócić naszą uwagę od faktu, iż p. Wrzosek jako prokurator wybitnie zaangażowany politycznie nigdy nie powinna była prowadzić sprawy przeciwko partii, którą otwarcie zwalcza. A Platforma Obywatelska, Koalicja 15 Października i sama pani prokurator Wrzosek nie są dziś ofiarami przesładowań; są elementami władzy, która staje się coraz bardziej autorytarna. Czego dowodem jest użycie politycznie zaangażowanych prokuratorów do ścigania politycznej opozycji.

Nie, Ewa Wrzosek nie zamordowała Barbary Skrzypek. Ale też nigdy nie powinna była jej przesłuchiwać. Zwalczanie ognia ogniem prowadzi do spalonej ziemi.

AGNIESZKA WOŁK-LANIEWSKA



Andrzej Szejna, poseł i wiceminister spraw zagranicznych z Lewicy, nie wygrzebie się z bagna, w które wlaż, nawet jeśli udowodni, że naprawdę przejechał kilometrów za ponad 100 tys. zł, mimo iż rzadko widywaną go za kierownicą. Że nie był zagorzałym konsumentem wina, mimo iż publicznie odbijał się od butelki z alkoholem do butelki z płynem do płukania ust. Nawet jeśli przewodniczący Włodzimierz Czarzasty obroni go na rządowej posadzie (choć raczej nie obroni, tak jak nie obronił lewicowego ministra nauki Dariusza Wiczeorka), to prędzej czy później partia wywali Szejnę lub zepchnie go na margines marginesów.

No bo co innego można zrobić z facetem, którego polityczna finezja ogranicza się do posyłania pogroźek partyjnym towarzyszom z Kielc, którzy przestali już znosić Szejnę? Pogrożki miały postać filmiku z safari: najpierw hieny atakują lwicę, a potem lwy biorą odwet na hienach. Oraz topornego komunikatu wiceministra dyplomacji: „Nieważne, ile przeciwko mnie, ważne, kto przy mnie”.

No kto?

Nie umiem wyobrazić sobie koszmaru wojny, jaki przeżywają ludzie bezpośrednio dotknięci tą plagą. To dlatego, że moją wyobraźnię blokuje lęk. Strach się bać – po prostu. Obserwuję przez szybkie wojny daleko i wojny blisko, a myśl, że jedna z nich może dotknąć bezpośrednio także mnie i moich bliskich, z jednej strony paraliżuje moją wyobraźnię, a z drugiej – skłania do refleksji z racjonalnym jej podłożem.

Kiedy próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego ludzkość nie zakazała prawnie prowadzenia wojen (tak jak zakazuje się zwyczajnych morderstw i zbrodni wojennych), jako wiodące wyjaśnienie przychodzi mi do głowy myśl: bo w systemach społecznych opartych na własności, jak kapitalizm, po prostu wojna komuś się opłaca. Dla właścicieli kapitału wojna jest biznesem.

Abstrahując zatem od skali ludzkich tragedii, zaczęć może moje rozważania od wyczytanej gdzieś informacji, że

Amerykanie w ciągu (tylko!) trzech lat, bo od 1965 do 1968 r. rzucili na Wietnam – czyków niemal 900 tys. różnego rodzaju bomb. Do tego przerażającego bilansu niewliczane są użyte granaty, amunicja artylerii, ładunki wybuchowe i cholera wie co jeszcze – tylko bomby.

O smokach, co lubią wojnę Strzelanina w saloonie

Pewnie nikt jak dotychczas (poza służbami specjalnymi) nie oszacował, ile bomb, rakiet i dronów-kamikadze wybuchło w ciągu ostatnich trzech lat w Ukrainie i ile na Bliskim Wschodzie. Nie znajduję także informacji, jakie szkody materialne te padające bomby wywołały. Ale można się spodziewać, że szkody te (wartość odbudowy) są wielokrotnie większe niż wartość tych bomb. Ludzie, którzy mają nadmiar pieniędzy, stale kombinują, jak nimi korzystnie obrócić – finansują to wszystko. Nie mamy złudzeń: z ogromnym zyskiem.

Obywatele Europy, doświadczeni dwiema totalnymi wojnami, karmieni byli złudzeniem przynależności do dominującego i kontrolującego świat kolektywnego Zachodu. Przynależność do triady, do G7 i poczucie bezpieczeństwa, opłacane zakupami zbrojeniowymi w USA (za pośrednictwem instytucji NATO), dawały wrażenie udziału Europy w ekipie rządzącej światem. Aby nie demonstrować nagiej prawdy o imperialnej proveniencji Zachodu, nasi politycy zakrywali przyrodojenie transparentem z hasłem o misji krzewienia w świecie wolności i demokracji.

Złudzenie trwało do czasu mającego miejsce w ostatnich dniach wywrócenia stolika z geopolityczną mapą przez musko-trumpistowską klikę. Okazało się, że Europa za mało dała zarobić amerykańskiemu koncernom na produkcji broni, że zabija rynek produkcji motoryzacyjnej w USA, nie chce pozwolić amerykańskiemu oligopolom big techów zarabiać na klikaniu i jeszcze do tego chce prowadzić proxy-wojnę z fajnym kolesiem z Moskwy. To po kiego wała musko-trumpom Europa, kiedy mają nadzieję na nową korzystniejszą przyjaźń... Może da się w ten sposób kolesia powstrzymać od nadmiernej przyjaźni z chińską konkurencją...?

Kiedy w kowbojskim saloonie wywracane są stoliki, to ktoś na pewno wypali z colta. I o to też chodzi! Nikt już potem nie odważy się wpaść w whisky do saloonu bez gnata przy pasie. Kiedy trwa zadyma, to popyt na broń lawinowo rośnie i biznes się kręci. Trwają wojny, Europa się boi, to będzie kupować broń. Firmy pracujące nad technologiami dla wojska sięgają wprost do publicznej, państwowej kasy, a potem jeszcze sprzedają tę broń państwu, zostawiając zysk w biznesie.



ILUSTRACJA: PAWEŁ FERENC

zniszczeń przynosi inwestorom wyjątkowe zyski. Państwa rządzą polityką, ale finansowe korporacje wydobywają, zbrojeniowe i cyfrowe rządzą biznesem. Andrzej Szahaj stwierdził, że w Stanach Zjednoczonych doszło do „połączenia totalnego kapitalizmu z zamordystycznymi rządami”. Kiedy państwo i biznes stają się jednością, rodzi się – moim zdaniem – autorytarny feudalizm. Poprzedni feudalizm podważyła rewolucja przemysłowa, ale ten nowy neofeudalizm tworzony jest przez ludzi zawiadujących współczesną rewolucją technologiczną. Czy coś go pokona? Na to odpowiedź znaleźć można tylko w bajce – tym razem bardzo smutnej bajce.

W bajce o tym, że kilka obrzydliwie bogatych ogniem zięjących smoków wypęzło z jaskini pod białym domem i w myśl starej skutecznej zasady, że „po ciemku i w zamęcie ukradła się wszak najwięcej” rozbujali politykę, a świat rozpoczął wyścig zbrojeń. Panika wojenna wystartowała. Nawet premier średniego kraju w kąci Europy tak się rozochocił, że postanowił przeciwstawić się zasadom proliferacji broni jądrowej i tuż za płotem granicznym z drutu zamierza rozmieścić atomówki. A smoki biznesu nie musiały już nawet używać zaklęcia „sezamie, otwórz się”. Sezam sam się otworzył. Wiedzą smoki, że właśnie tu i właśnie teraz otwierają się „wielkie wrota do stosów złota”.

I co prawda na wieść o smokach pod białym domem pojawił się Szewczyk Dratewka z owcą wypchaną siarką, liitem, kobaltem i innymi minerałami, ale smoki olały wypchaną owcę. Zjadły natomiast Szewczyka Dratewkę i... żyły długo i szczęśliwie.

Tylko dzieciom tego nie opowiadajcie!

ANNA GRODZKA

Zielona rewolucja Tuska

Czy polska lewica musi wziąć na siebie militaryzację społeczeństwa, żeby nie zrobili tego prawacy?

Mój ukochany dowcip z roku 1982, początku stanu wojennego. Generał Jaruzelski rozmawia w Moskwie z gensekiem KPZR Leonidem Breżniewem. Breżniew pyta Jaruzelskiego, jak zamierza zdławić podziemną, nadal popularną wśród robotników Solidarność. Zapobiec strajkom.

Generał nie ma rokującego szybki skutek pomysłu. Wtedy Breżniew wali się w czoło i krzyczy: – Władimir Ilicz! On zawsze, wie co robić!

Władimir Ilicz! On zawsze, wie co robić! Potem w nocy tajnym tunelem przedostają się do mauzoleum Lenina. Breżniew recytuje formułę, która budzi „wiecznie żywego” wodza rewolucji. Zaspłany Lenin pyta, o co chodzi, czemu go budzą? Jaruzelski długo i zawiłe próbuje mu wyjaśnić. Zirykowany Breżniew przerywa i mówi:

– To jest towarzysz Wojciech Władysławowicz. Przyjechał z Polski. Właśnie wybuchła tam kontrrewolucja antysocjalistyczna. Co robić? – Kontrrewolucja? – ożywia się Lenin. – Tyle razy was uczyłem, co wtedy trzeba zrobić. Macie natychmiast rozdać broń wszystkim polskim robotnikom!!!

Echo leninowskiej rady usłyszałem w czasie niedawnego sejmowego wystąpienia premiera Tuska. Wieszcząc zagrożenie wojenne ze strony Rosji, premier Polski wezwał polskie społeczeństwo do szybkiej odpowiedzi. Dobrowolnej samomilitaryzacji. Masowych szkoleń wojskowych.

Podchorąży zawsze zdąży

Kiedy byłem młodym chłopcem w wieku poborowym, groziła mi dwuletnia zasadnicza służba wojskowa. Przymusowa. Aby jej uniknąć, trzeba było mieć bardzo zły stan zdrowia potwierdzony lekarskimi badaniami i orzeczeniem Wojskowej Komisji Uzupelnienia.

Można też było ją odroczyć, udając się na studia wyższe. Co wtedy było dodatkową niekwestionowaną motywacją do dalszej nauki.

W czasie studiów wyższych odbywały się zajęcia ze szkolenia wojskowego. Wspólne dla studentów i studentek. Miały często kabaretowy charakter. Uczyli nas emerytowani wojskowi, zwykle odklejani od rzeczywistości. Do dziś krążą o nich rozliczne anegdoty.

Po ukończeniu studium i wyższych studiów przyszli medycy i artyści odbywali przymusowe kilkutygodniowe letnie obozy wojskowe. Zwykle wspominają je jako półwakacje.

Pozostali absolwenci byli masowo powoływani do rocznej służby wojskowej. Najpierw spędzali trzy miesiące w szkole wojskowej, potem mieli dziewięć miesięcy praktyki w jednostce. Kończyły się uzyskanymi tam stopniami oficerskimi lub podoficerskimi.

Przyznawano je w zależności od potrzeb armii. Preferowano studentów politechnik, kierowanych do jednostek wojsk zmechanizowanych, artylerii. Tych z uniwersytetów traktowano jako dopust zbrozy. Kierowano ich na front propagandowy, do biurokracji, szczęśliwcy trafiali do intendencji.

Tam generalnie obowiązywała zasada służby powolnej, bo „podchorąży zawsze zdąży”. Bywały niezwykle ciekawe przydziały. Jeden z kolegów przesłużył praktykę jako dowódca „czołgu w remoncie”. Inny został oficerem kulturalno-oświatowym w nadmorskim luksusowym wojskowym domu wypoczynkowym. Rano wyświetlał filmy, wieczorem robił dyskoteki, w nocy pocieszał młode żony pochłoniętych służbą oficerów.

Pomimo takich perspektyw unikałem tej zaszczytnej służby. Miałem wcześniej zdiagnozowaną krótkowzroczność, ubytki słuchu, chroniczne zapalenia dróg oddechowych. I, jak to w wojsku, najpierw dostałem bilet do wojsk łączności.

Potem ktoś potrafiący czytać ze zrozumieniem w WKU rozszyfrował, że jestem już etatowym dziennikarzem i dzięki temu trafiłem do Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych.

Dziś tamtego rocznego szkolenia wojskowego nie żałuję. Zrozumiałem tam istotę wojska, nauczyłem się wielu niezwykle potrzebnych praktycznych umiejętności. Nie tylko zabijania, także sprzątania bez zabijania. Zwłaszcza łazienek i toalet.

Podczas praktyki w jednostce wojskowej byłem „wychowawcą” żołnierzy służby zasadniczej. Młodszych ode mnie. Zwykle z wykształceniem podstawowym. Pochodzących ze wsi i miasteczek. Niejednego z nich wojsko nauczyło codziennego mycia, zwłaszcza zębów. Wielu z nich mogło w wojsku bezpłatnie zrobić prawo jazdy. Na traktor, ciężarówkę, samochód osobowy. Wojsko było dla nich powszechną szkołą zawodową.

Pewnie dlatego już wtedy uważałem, że powszechne szkolenie wojskowe powinno być kontynuowane. Ale nie przymusowe, tylko dla chętnych. Trwać od trzech miesięcy do roku.

Nagły atak spawacza

Teraz premier Tusk proponuje wszystkim polskim obywatelom, nie tylko mężczyznom, dobrowolną zasadniczą służbę wojskową.

Rozpocznie je 28-dniowe szkolenie podstawowe, po którym będzie można kontynuować jedenastomiesięczne szkolenie specjalistyczne. A potem złożyć wniosek o przyjęcie do wojskowej służby zawodowej, terytorialnej albo do rezerwy aktywnej.

Aby zachęcić ochotników, proponuje im się w czasie szkolenia wynagrodzenie w wysokości najniższego uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego, czyli 6 tys. zł brutto. Są też inne bonusy. Absolwent szkolenia ma pierwszeństwo naboru w szeregi armii zawodowej albo pierwszeństwo zatrudnienia w administracji publicznej na stanowiskach zgodnych z jego kwalifikacjami.

W czasie szkolenia można też, na koszt armii, uzyskać prawa jazdy kategorii C, C+E albo D, uprawnienia operatora sprzętu ciężkiego, nurka, skoczka spadochronowego, a nawet spawacza. To bardzo cenne

obecnie uprawnienia, bo wykwalifikowany spawacz jest dziś poszukiwany jak lekarz geriatra.

Warto przypomnieć, że każdy już zarejestrowany rezerwista może być wezwany na wojskowe szkolenia. Czasem jednodniowe, czasem trzymiesięczne. Na takie ćwiczenia wzywana jest każdego roku także grupa osób bez doświadczenia wojskowego, ale posiadających wykształcenie atrakcyjne dla wojska. Są to medycy, informatycy, mechanicy, wirtuozi gier komputerowych, spawacze.

Za to posłów i senatorów ustawowo nie biorą. Pewnie dlatego, że mogą być w wojsku dysfunkcyjni.

Różnij karabinem w bruk ulicy

„Chcesz pokoju, szykuj się do wojny” – taką sentencję słyszałem ostatnio z ust wszystkich polskich polityków. Nawet tych lewicowych. Nawet z ust liberalnych demokratów. Zapiętych pacyfistów, którzy na hasło zbrojeń i militaryzacji automatycznie recytowali manifest Juliana Tuwima:

„– O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”,
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawelne.
Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
»Bujac – to my, panowie szlachta!«”

I teraz masz lewico płacek! Jak lewicowo odpowiedzieć na militarną, zieloną rewolucję premiera Tuska?

W czasach, kiedy polska i europejska lewica ma fundamentalny dylemat. Czy musi wziąć na siebie militaryzację społeczeństw – bo w przeciwnym razie zmonopolizują ją faszystujący nacjonaliści?

Czy ma bezrefleksyjnie śpiewać w chórze nawołujących do radykalnych zbrojeń i zwiększenia wydatków na zbrojenia, zwane w mediach „obroną” i „bezpieczeństwem”?

Czy spróbować wykorzystać przyszłe masowe szkolenia wojskowe dla tworzenia lewicowego, demokratycznego ruchu obywatelskiego?

Może przecież przyjąć taki dzień, kiedy zamiast różnej karabinem, trzeba będzie ubrać obywateli robotników. I wtedy warto, aby ci obywatele byli obeznani z bronią wszelkiego rodzaju.

Aby biorąc ją, wpiąć się nie postrzelili. A potem wiedzieli, przeciwko komu jej użyć.

PIOTR GADZINOWSKI



ILUSTRACJA: PAWEŁ FERENC

Sztuka przegrywania wojny

Wakat na stanowisku Mannerheima

Fakt, że rząd polski w Londynie nie ma szans na obronę polskich praw do Kresów Wschodnich, Jan Karski zrozumiał po swojej rozmowie z Franklinem D. Rooseveltem 28 lipca 1943 r. Już po upadku PRL w jednym z wywiadów telewizyjnych Karski – człowiek niesłychanej odwagi, ale i wielkiej mądrości – wspominał, jak po wyjściu z Białego Domu spotkał się z przyjacielem, któremu powiedział, że Polska swoją politykę dwu wrogów, Hitlera i Stalina, już przegrała. Razem doszli do wniosku, że teraz kilku mądrych ludzi powinno usiąść i pomyśleć, jak pokierować tą kłeską, aby zminimalizować jej skutki dla narodu i państwa.

Niestety takich mędrców nie było.

Dał nam przykład Bonaparte

Przywódcy polskiej emigracji w zdecydowanej większości kłęski nie przyjmowali do wiadomości i z uporem kontynuowali swoją politykę, usiłując wymóc na Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, aby tę wojnę z „dwoma wrogami” za Polskę

i dla Polski wygrali. Zostali zignorowani i skończyli w kompletnej izolacji w obozie antyhitlerowskim. Dwa miesiące po zakończeniu wojny z Niemcami zachodnie mocarstwa zwycięskiej koalicji cofnęły uznanie dla rządu emigracyjnego i nawiązały stosunki z warszawskim proradzieckim Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej. Trudnego egzaminu właściwego pokierowania polityką w stanie kłęski obóz emigracyjny nie zdał. Przegrać wojnę, ale skutki tego zminimalizować – to wielka sztuka, która niewielu się udało, nawet genialnym wodzom. Wojnę zawsze łatwiej rozpocząć niż zakończyć.

Napoleon I wygrał dziesiątki bitew, zyskał miano „boga wojny”, ale swoją decydującą końcową wojnę przegrał totalnie. Nie musiał umierać w brytyjskim wojskowym garnizonie na odludnej, dalekiej atlantyckiej wyspie. Mógł spokojnie dożyć

swych dni, pisząc pamiętniki na śródziemnomorskiej Elbie. Wymagało to pogodzenia się z kłeską i dostosowania do niej – a tego nie potrafił. A wojna już tylko z rozpoczął, jaką lądując pod Tulonem 1 marca 1815 r. wydał całej Europie, była nie do wygrania.

Nawet gdyby bitwa pod Waterloo potoczyła się po myśli Napoleona – wojnę by przegrał. Przywódcy, którzy umieli odpowiedzialnie zakończyć wojnę przegraną lub nie do końca rozstrzygniętą, pozytywnie wyróżnili się w dziejach.

Na dobro Józefa Piłsudskiego zapisać trzeba nie tylko zwycięską bitwę warszawską w sierpniu 1920 r., ale też mądrą decyzją o rozejmie po wygranej bitwie nad Niemnem w październiku. Piłsudski mógł nacierać dalej na wschód, wojna nie była jeszcze do końca rozstrzygnięta, ale zrezygnował. Wiedział, że celu początkowego, zdobycia Ukrainy, już nie osiągnie, a wzmocnienia białych generałów obawiał się bardziej niż bolszewików, zatem wojnę zakończył.

Finezja finlandyzacji

Mistrzem w dziele zarządzania kłeską w wojnach XX w. okazał się Carl Gustaf Emil Mannerheim. Postać ze wszech miar wybitna, prawdziwy gigant. Fiński arystokrata pochodzenia szwedzkiego (językiem domowym był szwedzki). Poliglota; władał nie tylko wieloma europejskimi językami, w tym polskim, ale również chińskim. Podróżnik i utalentowany żołnierz, jeden z najmłodszych generałów carskiej Rosji, marszałek polny Finlandii, wódz naczelny jej wojsk i prezydent kraju. Po wybuchu rosyjskiej rewolucji i po I wojnie światowej Mannerheim był twórcą niepodległej Finlandii, takim tamtejszym Piłsudskim. Świadom zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego zbudował linię umocnień na Przesmyku Karelskim, nazwaną jego imieniem.

Jesienią 1939 r. Stalin – w ramach przezeblowania geopolitycznego Europy Wschodniej w konsekwencji paktu Ribbentrop–Mołotow – usiłował podporządkować sobie Finlandię. Napotkawszy na zdecydowany opór, najechał ją zbrojnie, wszczynając tzw. wojnę zimową (30 listopada 1939–13 marca 1940). Armia fińska dowodzona przez Mannerheima stawiała radzieckiej potęgę wojskowej zdumiewająco skuteczny opór przez blisko trzy miesiące; dopiero wobec zbliżającej się wiosny i korzystniejszych warunków dla Armii Czerwonej Mannerheim zdecydował się na rokowania pokojowe. Rosja narzuciła ciężkie warunki, terytorialne (utrata Wyborga – największego po Helsinkach miasta – i całego Przesmyku Karelskiego) i polityczne. Mannerheim to zaakceptował, aby ratować odrębność państwową i niepodległość Finlandii. Sfrustrowany marnymi wynikami działań zbrojnych Armii Czerwonej Stalin na to przystał. Półtora roku później, kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka, Mannerheim, niezbyt chętny Hitlerowi, po kilku dniach przyłączył się do Niemiec w celu odzyskania (rekonkwisty) ziem utraconych w wojnie zimowej. Finowie walczyli dzielnie i łatwo odzyskali straty, ale utrzymali dystans od działań niemieckich, m.in. odmówili ataku na Leningrad.

W 1944 r. – wobec coraz wyraźniejszej kłęski Niemiec – w obawie, że może to spowodować inkorporację Finlandii do ZSRR, Mannerheim zdecydował się opuścić sojusz z Niemcami i z poparciem aliantów zachodnich poprosił Moskwę o rozejm. Stalin znów przystał na jego propozycję – i Finlandia we wrześniu 1944 r. wyszła z wojny. W 1945 r., po zakończeniu wojny z Niemcami, zawarto traktat pokojowy. Związek Radziecki narzucił warunki – terytorialnie i politycznie – surowsze niż w 1940 r. Mannerheim je przyjął jako cenę za zachowanie niepodległości państwa i niezależności polityki wewnętrznej. Wy negocjował rodzaj zależności od ZSRR zwany finlandyzacją, którego przez lata zażyczyli Finom zwasalizowane przez ZSRR kraje Europy Środkowej.

Mannerheim zmarł w 1952 r. w Szwajcarii. Na jego pogrzeb w Helsinkach przybyło 100 tys. żałobników. Odnosił nie tylko taktyczny, lecz geopolityczny sukces, co dokładnie widać w 80 lat po

tamtych wydarzeniach. ZSRR dawno się rozpadł, a mała Finlandia spotężniała gospodarczo, politycznie i moralnie. Mannerheim jest dziś wielkim narodowym bohaterem, jego pomniki w Finlandii są równie chyba liczne jak Jana Pawła II w Polsce.

Pokój i kł

Jak w świetle tych doświadczeń patrzeć na tę wojnę, która toczy się, a może tylko dogorywa w Ukrainie? Już od wielu miesięcy znajduje się ona w stanie impasu – jak określił to Walerij Żałuzny, najwybitniejszy z ukraińskich dowódców. Ukraina, walcząc amerykańską bronią i za amerykańskie pieniądze, obroniła swoją niepodległość, ale nie obroniła integralności terytorialnej. 20 proc. jej ziem znajduje się dziś w ręku Rosji; od wybuchu wojny obszar aneksji się podwoił. Z wolna, ale systematycznie, Ukraina wojnę przegrywa – choć Rosja też na pełny sukces w postaci uzależnienia Ukrainy szanse chyba utraciła. Wojna dla obu stron stała się beznadziejna. Takie wojny należy kończyć kompromisowym pokojem.

Amerykańska administracja Bidena nie miała programu zakończenia wojny; wyglądało, że gotowa jest ją finansować i zaopatrywać bronią w nieskończoność, do ostatniego Ukraińca, aby w ten sposób osłabić Rosję. Donald Trump, zgodnie z zapowiedziami, zmienił tę politykę radykalnie. Zaproponował zakończenie wojny transakcją „pokój za terytorium”. Ukrainie oferował pokój oraz gwarancje bezpieczeństwa inne niż członkostwo w NATO; Rosji – zdobycze terytorialne znacznie ograniczone wobec jej początkowych aspiracji oraz reset w relacjach z USA i szerzej Zachodem. Motywem tej polityki wydaje się uwolnienie Ameryki od pokaźnego ciężaru finansowego wojny i pozyskanie Rosji dla partnerstwa w rywalizacji z Chinami.

Opór Zelenskigo wobec takiej kapitulacji Trump pokonał łatwo, publiczną awanturą i wstrzymaniem asystencji na wojnie. Zelenski się poddał – ale czy szczerze, to nie jest pewne. Prezentuje niejaka dwulicowość: wobec Amerykanów całkowicie popiera Trumpa, ale za jego plecami, na konwentykłach europejskich zwolenników kontynuowania wojny, nadal występuje w roli okłaskiwanego jastrzębia. Putin zachowuje się bardziej tajemniczo, targuje się, choć chyba ustąpi Trumpowi, marchewka mu oferowana jest bowiem pokaźna.

Węzeł zaplątany na Ukrainie do rozsypnięcia wymagałby Mannerheima: jego zdolności odczytania dalekosieżnych skutków aktualnych działań oraz gotowości do decyzji pozornie mało popularnych. Wielki Fin bezbłędnie odczytywał moment, kiedy wojnę trzeba kończyć – Putinowi i Zelenskiemu musi to powiedzieć Trump. Mannerheim zawsze miał na widoku sytuację i cierpienia swego narodu – dzisiejsi protagoniści troszczą się chyba bardziej o pozycję własną.

Z porównania z Mannerheimem Putin odpada jako agresor, Zelenski zaś – ze względu na nie ten rozmiar kapelusza. Na wojennej scenie politycznej, obok wielu marzycieli gadających o armii europejskiej, która ma osłonić Ukrainę przed Rosją, pozostaje dysponujący realną siłą i wpływem na bieg spraw Donald Trump. On chciałby wojnę położyć kres – ale to niestety taki Mannerheim dla ubogich. Hałaśliwa namiastka.

M.Z.

Wiosna przyszła, Kosinak powinien odejść

Lata motylek, bieży baranek

PLURALIS MAIESTATIS

Cały park za moim oknem świergoli. Zdarza się rzecz istotna – życie się rodzi. Jaja, piórka, gałązki, ptasi pan wskakuje na ptią panią. Wiosna przyszła. Jeśli nie pamiętacie, jak wiosna wygląda, to przypomnijcie sobie, co malowaliście w przedszkolu: blondynkę szczupłą niby lania. Z wiankiem dzwoniczym na głowie. Gdzie stanęła na trawie, tam wyrastały kwiaty. Wiosenko, wiosenko, ach to ty!

Wiosenko czy wojenka? Wiosenko, stawiasz stopę, a pod bładymi palcami – mina. Masz jeszcze palce, masz jeszcze stopę. Triumf, bo wielu już stóp nie ma. Przeczytałam właśnie, że minister obrony narodowej Władysław Kosinak-Kamysz żąda wypowiedzenia konwencji ottawskiej. Dla mnie żadnym argumentem jest to, że wicepremiera Kamysza Bóg, litość i rozsądek opuściły zapewne w afekcie. I że afekt ten dzieli z ministrami obrony Estonii, Litwy i Łotwy. Skurwysynstwo zwykłe jest zbiorowe – to odwaga jest samot-

niczką. Minister Kosinak-Kamysz zaś jest tchórzem.

**Bomby przeciwie-
chotne to kalectwo nie
tylko dla żołnierzy,
ale i dla kobiet, dzieci,
postronnych łebków.
Jak nimi nasrasz niby
grzybiarz kaką jesie-
nią w lesie – to tak
bomb, jak i gówna nie
wyzbierasz.**

„Pomimo naszego wycofania się zostaniemy zaangażowani w przestrzeganie międzynarodowego prawa humanitarnego, w tym ochrony ludności cywilnej podczas konfliktu zbrojnego. Nasze państwa będą nadal przestrzegać tych zasad, jednocześnie dbając o nasze potrzeby w zakresie bezpieczeństwa” –

czytamy we wspólnym oświadczeniu gierojów w krawakach. „Doceniamy zrozumienie i wsparcie wszystkich sojuszników oraz partnerów, którzy dostrzegają poważne wyzwania związane z bezpieczeństwem, przed którymi stoimy, i szanując naszą decyzję w tej sprawie”. Ani ze mnie pana sojusznik, ani partner – ja mogę pozwolić sobie na odczuwanie pogardy.

Ta pogarda jest skierowana do doktora nauk medycznych Władysława Kosiniaka-Kamysza – dyplom obroniony w 2010 r. na wydziale lekarskim Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po 15 latach nic pan nie pamięta z przysięgi Hipokratesa? A może łódzcy studenci medycyny powinni nie swoim kolegom, ale właśnie panu wysłać fotki zwłok, które – jak doniosło ostatnio Radio Zet – dla jaj robili w prosektorium? Ten młodzieńczy idiotyzm by się na coś przysłał.

A może ten idiotyzm to tylko próba oswojenia śmierci? Wszakże lęk przed

śmiercią to – według Freuda – jeden jedyny, jaki nam towarzyszy. Zamarzyły się panu konne pomniki? A może to powrót depresji? Większość z nas ponoć trwa w cichej rozpacz...

Zrobiło się za poważnie? To przeskokczmy, w końcu zaczęłam wiosną, to biegnie do królowej ludzkich serc! Będzie to rozważanie bardziej na pana poziomie.

Nawet ta księżna idiotka, która zamiast dać Karolowi mydło, żeby się umył po cipce Camilli, narobiła rabanu, wiedziała, co to są miny przeciwiechotne. W 1997 r., aby zaprotestować przeciwko ich używaniu, Diana przeszła przez pole minowe w mieście Huambo w Angoli.

Pojawiały się nawet przypuszczenia, że do jej śmierci przyczyniło się lobby handlarzy bronią.

„Wszyscy pamiętamy, że Diana osobiście się zaangażowała w akcję zakazu stosowania min przeciwiechotnych, ich magazynowania oraz handlowania nimi

i nagłaśniała tę sprawę. Wiemy także, iż Brytyjczycy są zaangażowani w handel bronią, zwłaszcza minami, i że mają duży interes w tym, by nie wyszło to na jaw. Wygląda na to, że Diana miała w planach wizyty w różnych państwach. Była w Angoli i Bośni, a z końcem 1997 r. wybierała się do Kambodży” – tak w 2010 r. (tym samym, w którym Kamysz został doktorem) mówił w wywiadzie dla „Daily Mail” prawnik Michael Mansfield. Socjalista, przez globalną firmę Legalease Ltd, analizującą dokonania kancelarii prawniczych i prawników na całym świecie, nazwany królem pracy na rzecz praw człowieka.

Ja wiem jedno – a nie jestem politykiem, lekarzem ani prawnikiem – że urwana noga to urwana noga. A śmierć to... NIC. Skoro udało się postawić na życie (na te wszystkie jajka, piórka, seksik, pieszczoty, oddychanie, a nawet kurewskie płatki na śniadanie) i uchwalić tzw. traktat ottawski (Convention on the Prohibition of the Use, Stockpiling, Production and Transfer of Anti-Personnel Mines and on their Destruction, Ottawa 4 grudnia 1997), a ratyfikowała go większa część państw globu – to naprawdę z upieprzonym chujem trzeba się na głowy zamienić, żeby pod nim ryc. Więcej mydła, ministrze!

IZABELA SZOLC

Penis wołowy kontra Putin

Czekając na wroga

Do końca bieżącego roku MSWiA wspólnie z MON i Rządowym Centrum Bezpieczeństwa zobowiązały się dostarczyć pod polskie strzechy poradnik na czas kryzysu. Zawarte w nim instrukcje będą miały za zadanie m.in. przygotować nas na kilkunastodniowy brak prądu lub podpowiedzieć, jakie zapasy zgromadzić, aby móc przetrwać przynajmniej 72 h bez dostępu do osiedlowej Zabki. Obywatele, rodacy! Czasy są niespokojne, światowy porządek rozpada się na naszych oczach. Wróg stoi prawie u bram. Weźcie sprawy w swoje ręce i ogarnijcie dupy z praktycznym instruktą „NIE” na wypadek wojny.

Refleks i Idea

Pierwszy dzień konfliktu zbrojnego na terenie Rzeczypospolitej przejdzie raczej bez większego echa. Na syreny alarmowe mało kto zwraca uwagę, a od momentu, w którym komuś z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa przypomni się o wysłaniu alertu, do czasu kiedy ludność przestanie robić sobie z niego jaja i potraktuje sprawę poważnie, zyskujecie fory w działaniu. Pierwszą falę internetowych relacji z okupowanych terenów kraju zaleje tsunami memów i utarczek słownych polityków w mediach społecznościowych. Szacunkowo, zanim opadną zasięgi na Facebooku czy X i rozpocznie się histeria, minie około czterech godzin. To doskonały moment na wypłatę środków pieniężnych z banków i zgromadzenie zapasów żarcia. Nauczony gorzkim wspomnieniem zmagazynowanych w mieszkaniach podczas pandemii palet makaronów i srajtaśmy społeczeństwo prawdopodobnie będzie gołe w asortyment pierwszej potrzeby. Podczas gdy przeciętny Kowalski rzuci się na najbliższy market jak sarna pod pendolino, mądry czytelnik „NIE” skieruje swoje kroki w zupełnie inne miejsce.

Należy pamiętać, że wybuch wojny i pandemii różnią się zasadniczo jedną podstawową rzeczą – w trakcie ataku najeźdźcy możliwość zgonu wzrasta nieporównywalnie do tego z czasu zarazy. Warto zatem mieć na uwadze, że infrastrukturę krytyczną – czyli tę zaopatrującą ludność w wodę, prąd i gaz – może wuj strzelić, zanim dopadnie ją wróg, bo albo nie będzie komu jej obsługiwać, albo zostanie naprędcie rozkradzioną. Tym samym z Thermomixu będzie można

zrobić co najwyżej nocnik, a z kuchenki barykadę. O ile prędkie zmontowanie baterii wody butelkowanej wydaje się stosunkowo łatwym zadaniem, wybór artykułów żywnościowych wymaga nieco większej finezji.

Najlepiej zaopatrzyć się w produkty długoterminowe, które nie ważą zbyt wiele, ale zapewnią dużo energii. Dlatego, gdy w osiedlowych spożywczakach i sieciowych paśniakach będzie trwać bitwa o ostatnią paczkę chińskiej zupki, warto zdobyć szturmem sklep zoologiczny.

Na Fafika

Każdy właściciel psa wie – ale nigdy się głośno nie przyzna – że psie żarcie z puszek często pachnie lepiej niż domowy obiad czy wyziewy z niejednej restauracyjnej kuchni. Jeśli przełknąć dumę i napływającą z głodu do gęby ślinę, może się okazać, że w całkiem niezłej cenie zdobędziemy wartościowy produkt, który uchroni nas w wojennej zawierusze od upokarzających procedur wyzerania kitu z okien.

Dla porównania, luksusowa wieprzowa mielonka dla ludziny oprócz fragmentów świni zawiera: sól, difosforany, azotyn sodu, soję, mleko, seler i gorczycę; 100 g produktu dostarcza 15 gramów białka. Mokra karma dla psa w pakiecie mieszanym (wołowina z kurczakiem, wołowina z jagnięciną, jeleń z jabłkiem, łosoś ze szpinakiem) bez zbóż i glutenu, wygenerowana z dodatkiem serc, płuc, wątroby i włókna mięśniowego, dostarcza średnio 24 g surowego białka na 100 g porcji. Niedzielny obiad jak znalazł. Nie tylko zdrowo, ale można błysnąć w towarzystwie, że dzięki zaradności za okupacji żarło się smaczniej niż w czasie



pokoju, gdy po opłaceniu raty kredytu starczało na pasztetową, a łososią oglądało się w gazetce z Biedronki.

Nie gorzej prezentują się kocie specjały. Była teściowa mojej przyjaciółki podbiła karmę jej kotów, bo twierdziła, że to zabijasta mielonka, a ja się jej wcale nie dziwię. Przeciętą wysokowartościową, bezzbożową karmą pełnoporcjową jest wzbogacona witaminą D (reguluje gospodarkę wapniową), witaminą A i E wzmacniają wzrok, skórę i sierść, tłuś, włosy; tauryna reguluje pracę serca. Do tego warzywa i zioła – palce liżać.

Czy soczysta kaczka piżmowa i delikatna nowozelandzka jagnięcina z owocami, z tłoczonym na zimno olejem z łososią i siemieniem lnianym brzmi źle? Sklepowe fit batony wyglądają przy tej propozycji wręcz śmiesznie. 20-kilogramowy worek tej pysznej suchej karmy zmieści się w każdym, nawet najmniejszym mieszkaniu. Sucha przekąska może być nie tylko uzupełnieniem diety puszkowej, ale pozwoli przetrwać nawet w formie małych racji.

SŁOWO CZERWONE

nia tymczasowego – jakiegoś obscurnego byłego hotelu pracowniczego, gdzie trzeba dzielić izbę z obcymi sobie ludźmi. A potem to już nie komornik, tylko ochrona wywleka człowieka na ulicę. To jest na bruk, tylko na raty.

Ale rządzące nami Jaśnie Państwo nie dopuściło do uchwalenia w budżecie środków wystarczających na zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych ogółu obywateli. Bo na drogich mieszkaniach właściciele RP zarabiają.

Rośnie dramatycznie liczba udzielanych chwilówek. Bo rośnie bieda. Biedacy są skazani na pożyczanie u lichwiarzy. Na tej biedzie utuczy się niejeden bogacz. I znów prasa i media będą się zachłystywać od zachwytów, że przybyło nam miliardów.

Przeczytałem program wyborczy Mentzena. Jest nudny jak flaki z olejem i niczym się właściwie nie różni od programów większości kandydatów prezydenckich.

A przecież od czasu do czasu kandydat Konfederacji wyzna szczerze, że chce 10 lat więzienia za aborcję, nawet jeżeli ciąża pochodziła z gwałtu. Albo że nie ma nic złego w biciu dzieci. Czy też, że trzeba obniżyć podatki bogatym i przedsięwzięć, bo to oni są solą tej ziemi.

Obojętne, czy ludożercy będą rządzić z PO, czy z PiS-em – przyjdą ciężkie czasy dla zwykłych ludzi, dla niezamożnej większości. Elita szykuje im piekło. Wróć oferty pracy za kilka złotych na godzinę, rozpanoszy się lichwa żerująca na rosnącej nędzy, wyschną źródła zasiłków, nie będzie litości dla dłużników, ludzi pracy, lokatorów.

Dobre uczynki będą karane. Chciwość i okrucieństwo nagradzane. Nadchodzi czas ludożerców. Tak ochrzciłem Mentzena i jego bandę, bo podobno nie wolno ich nazywać faszystami.

PIOTR IKONOWICZ

PS W sobotę 22 marca wybieramy się do Poznania, aby wesprzeć mieszkańców Osiedla Maltańskiego, których chce wysiedlić Kościół, żeby sprzedać teren deweloperom. Autokar z Warszawy odjeżdża z rogu ulic Wilczej i Marszałkowskiej o godzinie 8:00. Jedźcie z nami! Maltańskie zostaje!

Co jednak, jeśli będziemy zmuszeni do ucieczki, a zapasy żywności będziemy musieli ograniczyć do minimum?

Żuj i żyj

Naturalne gryzaki bez dodatków środków konserwujących są doskonałym uzupełnieniem diety każdego psa niezależnie od wieku i rasy – dlatego też, jeśli pies nie zdechł dokarmiany przez lata chipsami, to i rodzajowi ludzkiemu nie zaszkodzią dedykowane futrzakom krusze specjalne. Od wyboru opcji, tak jak i z głodu, może zakreślić się w głowie: wołowe wymiona w kostce, jądra, ścięgnięta karkowe, przełyk cięty. Ilość białka w 200 g przysmaków oscyluje w granicach 82 proc.

Penis wołowy to ceniony pod względem wartości odżywczych delikates. Nawet suszony zwis zawiera zadowalające ilości żelaza, potasu, fosforu czy witamin z grupy B. W wielu kulturach – szczególnie w kuchni chińskiej, koreańskiej oraz afrykańskiej – jest uważany za afrodyzjak i źródło siły vitalnej: najesz się i poruchasz! Suszona wołowina to, jak wiadomo, przysmak z górnej półki; ciekawskim nie trzeba się spowiadać, że chodzi o ciamkanie byczych jaj.

Bardziej wysublimowane podniebienia zachwyci sarnina. Ogryzienie racicy tego sympatycznego ssaka dostarczy organizmowi kolagenu niezbędnego dla utrzymania zdrowych stawów. Dodatkowo przekąska świetnie rozładuje napięcie, zapobiega nudzie i oszukuje żołądek. Suszone uszy sarny z futrem idealnie wyczyszczą zęby i co ważne, nie podrażnią alergików. Spełnią się również jako przytulanka dla milusińskich.

Stęsknionych za egzotyką na talerzu z pewnością ucieszy możliwość nabycia suszonej skóry wielbłąda. Jej nieregularny kształt pozwala na masowanie dłońmi podczas zucia i pomoże wzmocnić mięśnie żuchwy, a skład zachwyci ilością białka.

Wszystkimi, którzy jeszcze przed wojną padli ofiarami cenników usług stomatologicznych przypadnie do gustu pasta z kaczki z dynią (w wygodnej i lekkiej tubie) lub wege mus kokosowy z dodatkami banana, mango, borówki i prebiotyków.

Nie wyrzucacie też kaszy z czasów pandemii, nawet jeśli załęgły się w niej mole spożywcze. Wysypcie trochę na parapet i obserwujcie, czy nie nadleci gołąbek pokoju. Można skurwysyna upiec nad ogniskiem z parkietu i przetrwać. Dla Polski!

IDALIA DUBICKA

Chlubą IPN jest ponad 70 prokuratorów prowadzących ponad 500 postępowań karnych, których przedmiotem są zbrodnie nazistowskie, nacjonalistyczne, komunistyczne. Od czasu do czasu ich działania wykraczają poza granice Polski, czym budzą wesołość w wymiarach sprawiedliwości cywilizowanych krajów.

Praworządność jakaś inna

Do annałów niekompatybilności polskiego prawa z europejskim przeszło wiele nieudolnych prób ściągnięcia ze Szwecji Stefana Michnika. Oczywiście Heleny Wolińskiej z Wielkiej Brytanii też. Tamtejsi urzędnicy mieli gotowe odmowy i jak tylko z IPN wpływał kolejny wniosek, to nie wahali się ich wysyłać.

Dokładnie tak samo mieli Niemcy z Romanem S., byłym funkcjonariuszem plutonu specjalnego ZOMO, który brał udział w pacyfikacji kopalni Wujek. Facet od lat mieszkał w Niemczech i miał tamtejsze obywatelstwo. I oczywiście był poszukiwany europejskim nakazem aresztowania wydanym na żądanie prokuratorów Instytutu Pamięci Narodowej.

Państwo niemieckie wiele lat wyśmiewało i nakaz aresztowania, i taki detal jak twierdzenia prokuratorów IPN, że

„pocisk, który ugodził górnika kopalni Manifest Lipcowy dzień przed pacyfikacją kopalni Wujek, mógł pochodzić z broni przypisanej m.in. do Romana S.”. Szczególnie bały Niemców twarde dowody w postaci sformułowań „mógł” i „m.in.”.

Wychowany na prawdziwym prawie świat od lat śmiał się z polskich wyroków, ale nade wszystko z tego, że zarzuty od lat wszędzie przedawnione u nas uchodzą za porównywalne z masowymi mordami czy korzystaniem z komór gazowych.

Sieroty po demolacjach mają jednak inaczej – i jak tylko Roman S. postawił nogę w 2019 r. w Chorwacji, to tamtejsi nie patrzyli, o co biega, tylko zrealizowali list gończy i faceta przesłali Polakom. Tu zaś za „mógł” i „m.in.” Romanowi S. sąd wymierzył karę siedmiu lat pozbawienia wolności, łagodząc ją o połowę, tj. do trzech lat i sześciu miesięcy. Apelacje i kasacje nic nie dały.

Zachodni prawnicy wiedzieli, że polskie prawo mocno odbiega od norm. Potrafi bowiem postawić przed sądem oskarżonego o 92 „zbrodni komunistyczne, będące jednocześnie zbrod-

Naród kolekcjonerów

Dlaczego Rzeczpospolita nie pozwala fałszować pieniędzy, a dyplomy tak?

Wraz z 10 tys. rodaków jestem nosicielem tytułu naukowego profesora. Jest nas może nie jak psów, ale gatunkiem chronionym też nie jesteśmy. Ta nieco anachroniczna instytucja ma taki sens, że oto dojrzały akademik służy państwu swą radą i mądrością, a państwo, w osobach swych najwyższych przedstawicieli, potwierdza ten szacowny status. Sprawa jest honorowa i obywateli się bez znaków wodnych, hologramów i innych zabezpieczeń, bo też trudno sobie wyobrazić, aby jakiś kłep zamyślił sfałszować dokument poświadczający posiadanie tytułu profesora. W moim przypadku jest to zwykła kartka A4 z jednozdaniową informacją, że oto nadaje mi się tytuł profesora i podpisem Lecha Kaczyńskiego. Bez pieczęci, bo komu by przyszło do głowy fałszować podpis prezydenta RP?

Zupełnie inaczej mają się jednakże sprawy z tytułem zawodowym (nie naukowym) magistra. Tu już trzeba było trochę się postarać, żeby nie mógł sobie każdy jeden takiego świstka wydrukować na domowej drukarce. Ale postarano się niepotrzebnie. Bo zamiast samemu oszukiwać, trzeba teraz zapłacić większemu cwaniakowi. I po co? Z jednego oszusta zaraz wszak robi się dwóch. Naiwni twórcy „trudnych do podrobienia” wzorów dyplomów magisterskich oraz władcy szaf pancernych w dziekanatach, gdzie przechowywane są blankiety dyplomów, wyobrażali sobie, że człowiek nie jest aż tak podłą istotą, by zjawisko fałszowania dokumentów miało się stać masowe. Srodcie się jednak pomylili! Technikalnia nie stały się najmniejszą nawet przeszkodą w nabyciu dyplomu, a co gorsza, przeszkodą nie stali się też prokuratorzy, dla których oszustwo, poświadczanie nieprawdy, wyludzanie etatów i wy-

grywanie konkursów na podstawie sfałszowanych dokumentów to występki na poziomie kradzieży drosgów w sklepie GS (dopuszczam się onegdaj takiego grzechu na kolonii w Juracie). Nie wiem, co bardziej mnie oburza i zadziwia: uparte lekceważenie przez państwo masowych oszustw, kradzieży i wyludzeń związanych ze studiami (plagiaty, pisanie prac na zamówienie, kupowanie lub fałszowanie dyplomów), wielotyśięczna armia okazjonalnych oszustów załatwiających sobie lewe papiery czy też ta bezczelna banda zawodowców od pisania prac i fałszowania dyplomów.

Ludzie piszący na zamówienie prace magisterskie czy doktorskie jakoś mnie fascynują. Bo nihilizm łączy się przecież u nich z niemałą inteligencją i wykształceniem. Pisanie dwóch, trzech prac magisterskich w miesiącu albo czterech doktoratów rocznie to nie w kij dmuchał. Tym bardziej że klienci „reprezentują” różne dyscypliny i subdyscypliny wiedzy. Trzeba mieć łeb jak sklep, żeby temu sprostać! Najwyraźniej nie jest tak, że jak kto mądry i uczony, to do draństwa mniej skory. Bardzo to rozczarowujące ustalenie, choć nie można mu odmówić demokratyzmu.

Jednak największe wrażenie – łączące w sobie wstręt moralny z podziwem – wzbudziła we mnie arcyinteresująca niedawna publikacja na ten temat w „Polityce”, a dokładnie jej fragmenty, w których autor artykułu, red. Zbigniew Borek, raczy nas wypowiedziami użytymi od producenta „dyplomów kolekcjonerskich”, czyli patentowanego fałszerza. Czytamy tam takie oto zdumiewające enuncjacje: „niesiemy kaganek oświaty pod strzechy, jesteśmy jak misjonarze dla ludu, dla zwykłych ludzi bez protekcji, znajomości



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

i układów. Proletariat też chce awansu społecznego i jak wyżej podani notabie też chce wspiąć się do tzw. elity intelektualnej, pomimo że w herbie ma buraka przebitego widłami”. I dalej: „żyjemy w dzikim kraju dzikich ludzi, gdzie oszustwo, wyludzenia, złodziejstwo jest akceptowane przez społeczeństwo”. Wow! To chyba sam diabeł przemówił. Bo czyż istota ludzka mogłaby się zdobyć na tak wielki cynizm i sztyderstwo z całego naszego rodzaju (a przynajmniej narodu)?

Oto fałszerz dworuje sobie z rewolucji społecznej: ludowi należą się te same dobra co możliwym, łącznie z dyplomami! Oczywiście tak nie myśli. Jego odra-żająca działalność nie jest rebelią ani żadną formą moralnie motywowanego anarchizmu, lecz czystym nihilizmem.

Nasz diaboliczny moralista chce nam powiedzieć, że ludzie są tak beznadziejni, iż wszelkie starania, aby być innym i w ogóle tej amoralnej masie jakkolwiek się przeciwstawić, są daremne i głupie. Lepiej już na tym zarobić.

Trudno nazwać to usprawiedliwieniem, bo po pierwsze nasz cyniczny fałszerz wcale go nie potrzebuje, a po drugie argument mówiący, że wszyscy są zli, więc wolno być złym, nie jest ani prawdziwy (bo nie wszyscy są zli), ani spójny logicznie (cudzy występki nie usprawiedliwiają mojego). Można jednakże przyznać, że system prawny i społeczny, który pozwala prowadzić tak bezczelną działalność, jaką jest fałszowanie dyplomów pod „pretekstem” (cudysłłów jest tu konieczny, bo to nawet nie jest pretekst!) produkcji przedmiotów kolekcjonerskich, kumuluje o wiele więcej zła, niż mieści się w jednej zdemoralizowanej duszy fałszerza dyplomów.

Amoralne i nieudolne państwo pozostaje bierne, więc naród „kolekcjonuje”, co się da: dyplomy, narkotyki, broń. Normalnie naród kolekcjonerów! Tylko jakimś dziwnym trafem, gdy ktoś kolekcjonuje „repliki” biletów NBP, zwanych banknotami, to policja, prokuratorzy i sądy natychmiast strzygą uszami. Magia pieniądza?

JAN HARTMAN

Antykomunistyczne dziecię Tuska

Zagranicznych historyków jeszcze niedawno IPN tumaniał i przestraszał. Dziś już tylko śmiesz.

niami przeciwko ludzkości” byłego komendanta milicji, a potem szefa całej polskiej policji Leszka Lamparskiego. Za to, że Lamparski zbrodniozo internował 92 osoby. Za takie coś prokuratorzy historyczni wnioskowali dla niego o 10 lat więzienia. Internowanie było bezprawne, choć Lamparski powoływał się na dekret z 12 grudnia 1981 r. „o ochronie bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego”. Czujni prokuratorzy z IPN próbowali zaś udowodnić przed sądem, iż w rzeczywistości ten akt został opublikowany później i według powszechnie przyjętych zasad prawnych nigdy nie obowiązywał. Takie same zarzuty jak Lamparski dostało mnóstwo niedgysiejszych komendantów milicji. Sądy stawiały jednak na stanowisku, że o braku wydrukowania tego aktu komendanci nie wiedzieli i według nich akt ten obowiązywał. I zbrodniarzy za zbrodniarzy nie uznawały. Lamparskiego też.

IPN wydumał kategorię „zbrodni komunistycznych, będących jednocześnie zbrodniami przeciwko ludzkości”, co bawi polskich sędziów, a mądrym ludziom na Zachodzie sugeruje, żeby odpuścić sobie poważne postrzeżenie prokuratorów z policją pamięci Rzeczpospolitej.

Ponieważ instytut od powstania cierpiał z powodu międzynarodowego niezrozumienia, to w 2011 r. ten stan zmienił premier Donald Tusk. Wtedy bowiem powołano międzynarodową organizację non profit o nazwie Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia.

Instytucja ta wszędzie pisze o sobie, że jest pozarządowa. Interesujące to o tyle, że powstała na skutek porozumienia między premierami Czech, Polski i Węgier (wówczas Jiřim Rusnokiem, Donaldem Tuskiem i Viktorom Orbánem). PEPiS stworzyły głównie wschodnioeuropejskie odpowiedniki IPN. Czyli instytucje państwowe. Z czasem doszłusowały do nich stowarzyszenia i fundacje.

Młot na milicjantów

Dlatego dziś platforma to kilkadziesiąt różnych instytucji i organizacji zajmujących się głównie opowiadaniem, co każda z nich robi, i wyciąganiem pieniędzy od własnych rządów. Akt założycielski sprzed lat podpisał też ówczesny szef IPN Łukasz Kamiński. Ten sam, który został skutecznie wysiudany ze stanowiska po ob-

jęciu władzy przez PiS. Ale tylko dlatego, że się źle kojarzył. Poglądy Kamińskiego są bowiem takie same jak jego następcy, Jarosława Szarka, a także obecnej gwiazdy prezesa, Karola Nawrockiego. I dlatego, gdy opróżniła się synekura w postaci fotela przewodniczącego PEPiS, pisowski IPN z radością rekomendował na tę fuchę Kamińskiego.

Tuż po objęciu międzynarodowego fotela nowy prezes zapowiadał, że kierowana przezeń instytucja wdroży europejski mechanizm osądzenia sprawców zbrodni komunistycznych. Taki wzorowany na polskim.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

„Idea wytoczenia procesu dotyczącego zbrodni komunistycznych – na wzór procesów norymberskich, dzięki którym przynajmniej w części osądzono zbrodnie III Rzeszy Niemieckiej – pojawiła się już w pierwszych latach po 1989 r. Niestety, niewiele jest działań, które są realną próbą rozwiązania tego problemu” – ubolewał Kamiński. A gdy kończyła mu się kadencja, opowiadał mediom, że jego organizacja międzynarodowa mocno ciśnie rządy. Tyle że już nie chciał trybunału, ale nagięcia istniejącego prawa. „Kaźde państwo, które podpisało stosowne konwencje, jest uprawnione do tego, żeby ściagać

każdą ze zbrodni przeciwko ludzkości niezależnie od tego, gdzie one byłyby popełnione” – opowiadał mediom. „To mechanizm, który jest dostępny, choć nikt go do tej pory nie użył do ścigania sprawców zbrodni komunistycznych” – dodawał.

Trzeba wiedzieć, że media, którym to opowiadał, były pisowskie, bo poza nimi nikt na świecie nie zdawał sobie sprawy z istnienia platformy. Nikt też nie miał najmniejszego zamiaru kiwnąć palcem w łapaniu wskazujących przez policję historyczne „zbrodniarzy przeciwko ludzkości”. Nie wspominając o tym, że zainteresowani historycy wiedzieli, iż PEPiS to międzynarodowa ekspozytura IPN. I gdy słyszeli, że najważniejszym zadaniem platformy jest „współpraca na rzecz rozpowszechniania wiedzy dotyczącej systemów totalitarnych i upamiętnianie ofiar zbrodniczych reżimów”, to wybuchali śmiechem.

A to pewnie dlatego, że szukając czegoś o PEPiS w internecie, natykali się info, że jedyne przejawy jej działalności to coroczny zjazd organizacji członkowskich tworzących platformę, podczas którego odbywają się obrady i debaty. No i również corocznie platforma przyznaje osobom lub organizacjom nagrodę za działania na rzecz praworządności, obrony demokracji i praw człowieka oraz przeciwstawianie się współczesnym reżimom totalitarnym. A w ramach Festiwalu Filmowego Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci organizuje panel dyskusyjny nawiązujący do zagadnień europejskich totalitaryzmów i przyznaje nagrodę specjalną w kategorii filmu dokumentalnego.

Śmiech na sali

Dla Nawrockiego PEPiS przestał się wszelako liczyć. I to tak, że nawet nie chciało się prezesowi IPN jeździć na jego zjazdy. Był na jednym. I to tylko dlatego, że imprezę musiał zorganizować IPN w Warszawie. Na dodatek kilka tygodni po wygranych przez PiS wyborach – w grudniu 2023 r. – Nawrocki wygłosił spicz o tym, że dekomunizacja polega nie tylko na usuwaniu propagandowych monumentów, ale również na procesach lustracji życia publicznego. Bo „wszystkie te działania mają wpływ nie tylko na pamięć historyczną społeczeństw rządzonych niegdyś przez reżimy totalitarne, ale również współczesne funkcjonowanie ich systemów politycznych”. Siedzieć i wysłuchiwać obrad się Nawrockiemu nie chciało.

Przegapił zatem przemowę Elizabeth Spalding, szefowej Victims of Communism Memorial Foundation. Ta zaś opowiadała, że proces

dekomunizacji obejmował nie tylko kraje, które doświadczyły rządów komunistów, ale również Stany Zjednoczone. W przypadku jej kraju kluczem do zwalczania ideologii komunistycznej jest edukacja na temat tego, jak zbrodniozo system stworzyli zwolennicy komunizmu. A żeby wszystko było jasne, dodała, że wiedza najmłodszych pokoleń Amerykanów na ten temat jest bardzo niewielka, na co wpływa m.in. dominacja w naukach społecznych treści odwołujących się do marksizmu, takich jak teoria krytyczna rasy czy tzw. wokeizm. To, co opowiadała pani Spalding, było dla prelegentów typowe, dla wiedzy historycznej zaś bardziej niż nieistotne.

Tusk zajęty rozmowami koalicyjnymi pewnie nawet nie wiedział iż w warszawskim spędzie historycznej międzynarodówki antykomunistycznej, którą przecież sam zakładał. A szkoda, bo miał niepowtarzalną szansę zobaczyć, co narobił. Czyli poza wydawaniem pieniędzy podatników – nic.

Najgorsze, że tak z polskim członkostwem w PEPiS, jak i z samym IPN, niewiele mógł zdziałać. Na straży instytutu stoi bowiem ustawa, a tej przy Andrzej Dudzie ruszyć nie mógł. Nie mógł też zrobić nic z pionem śledczym IPN, czyli prokuratorami. Adam Bodnar, mimo bycia nominalnie szefem wszystkich prokuratorów, nie może ich przesunąć do żadnej rejonówki. Prawo stanowi bowiem, że w IPN „prokuratorów Głównej Komisji oraz oddziałowych komisji powołuje” (oraz odwołuje) „Prokurator Generalny na wniosek Prezesa Instytutu Pamięci”. A Nawrocki nikogo odwołać by nie pozwolił.

Od ponad roku IPN jest więc nietykalną – jak kilka innych – pisowską enklawą w państwie. Dzięki temu może Polskę ośmieszać zarówno wśród prawników, jak i historyków. I oczywiście uczestniczyć w spędach PEPiS. Jak choćby w zeszłorocznym zrobionym w Wilnie. Tak dla Nawrockiego nieistotnym, że zamiast się samemu wybrać na trzy dni na Litwę, wysłał swojego zastępcę. Ten zaś nudził się niemożliwie, bo miast słuchać o złych komunistach i innych lewakach, musiał siedzieć na debatach, gdzie dyskutowano o „roli przestrzeni pamięci w utrwalaniu pamięci historycznej oraz ich znaczeniu jako nośników sprawiedliwości”.

W końcu wiceszef IPN nie wytrzymał i strzelił gadkę o burzeniu pomników. Czyli „akcji dekomunizacyjnej, zainicjowanej i nadzorowanej przez prezesa IPN Karola Nawrockiego, w ramach której od ponad dwóch lat usuwane są fizyczne pozostałości po reżimie komunistycznym”. Co zostało skwitowane milczeniem, bo za granicą pomniki nawet niefajnych rzeczy służą nie burzeniu, ale temu, by przed tymi niefajnymi rzeczami przestrzegać.

TADEUSZ JASIŃSKI

Wraz z postępem walki z wykluczeniem komunikacyjnym coraz mniej ludzi jeździ autobusem i pociągiem

Komunikacja wykluczająca



Na początku rządów PiS Najwyższa Izba Kontroli obwieściła jako odkrycie, że „samorządy na ogół nie były zainteresowane organizowaniem publicznego transportu zbiorowego dla mieszkańców”. Bo tak naprawdę to ograniczały się do wydawania zezwoleń i instrukcji, gdzie mają być przystanki. Połowie skontrolowanych samorządów zwiślało i powiewało, czy obywatel ma jak dojechać do szkoły, pracy lub przychodni. W języku administracyjnym nazywało się to badaniem lokalnych potrzeb przewozowych i było ustawowo zapisanym psim obowiązkiem władz gminnych.

Raport NIK spadł z nieba „dobrej zmianie”, która i tak gardłowała już o wykluczeniu komunikacyjnym. PiS zrzuciło więc zacołanie w tej dziedzinie na poprzedników i zapowiedziało, że problem rozwiąże, bo w końcu chodziło o – umiłowane przez prezesa i jego ludzi – wsie i małe miasteczka.

Wrzód na tyłku

Partii, która w ciągu jednej nocy potrafiła wymyślić i przegłosować dowolne prawo, walka z wykluczeniem komunikacyjnym szła jakoś opornie. Dopiero w 2019 r. powołano Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych, który dysponował śmieszłą kwotą 800 mln zł dla wszystkich województw. PiS niczego się z niegdysiejszego raportu NIK nie nauczyło. Kasa z FRPA była więc dobrowolna, a nie obowiązkowa. A samorządy, tak jak wcześniej, miały komunikację zbiorową gdzieś. Tak jak i państwowe pieniądze szła jakoś opornie. W 2022 r. – i tak rekordowym od momentu uruchomienia funduszu – stopień wykorzystania pieniędzy z FRPA wynosił tylko ok. 70 proc. i jedynie w czterech województwach zagospodarowano pełną pulę. W tym samym roku badania ekspertów od komunikacji zbiorowej wskazywały, że do 20 proc. miejscowości w Polsce

nie dojeżdża transport publiczny, a drugie tyle ma go w minimalnym zakresie. I były to z reguły pojedyncze kursy, tylko w dni nauki szkolnej.

Wychodzi więc na to, że władze lokalne, jak nie były problemem komunikacji lokalnej zainteresowane na początku lat 90., tak nadal nie są. Tuż po transformacji ustawodawca zepchnął temat na samorządy, te zaś, za przykładem władz centralnych, nie zajęły się nim w ogóle. PKS się rozsypał. Stosunek władz lokalnych pokazuje wystąpienie skarbniczki gminy Lelów na spotkaniu przedstawicieli samorządów dotyczącym komunikacji regionalnej kilkanaście lat temu. Pani oświadczyła, że problemu komunikacyjnego nie ma, bo „przecież coś tam jeździ”.

Porobiło się bowiem tak, że mieszkańcy wsi i miasteczek, zniechęceni pogarszającą się ofertą przewozową, zaczęli porzucać transport zbiorowy na rzecz własnego samochodu. Potencjalnych pasażerów komunikacji regionalnej i lokalnej było więc coraz mniej. Realia rynkowe przyniosły także rzeszę przewoźników komercyjnych, niekiedy dysponujących pojedynczymi furgonami dostosowanymi do przewozu osób lub wiekowymi jeżdżącymi na słowo honoru autobusami.

Ale to już było...

Złota era PKS-u zaczęła się w połowie lat 60. Na trasach królowały Jelcze „ogórki”, które dojeżdżały do najdalszych zakątków Polski. Za Gierka PKS był potęgą. W całym kraju miał 30 tys. autobusów i zatrudniał 150 tys. osób. Sieć połączeń pokrywała ponad 95 proc. dróg w Polsce. Żeby było śmieszniej, w tych czasach PKS był przedsiębiorstwem bardzo dochodowym, państwo nie dokładało doń żadnych pieniędzy. Firma była na swoim rozrachunku i z wypracowanych zysków kupowała

tabor i inwestowała w zajezdnie oraz dworce. PKS nakreślił też całą nową gałąź przemysłu w Polsce. Poza Jelczem rozkwitł Sanok. Tamtejszy Autosan stał się jedną z największych fabryk produkujących autobusy w Europie.

Po podziale PKS-u w 1990 r. na 176 przedsiębiorstw w kolejnych latach część z nich została zlikwidowana albo przestała zajmować się przewozem osób, niektóre połączyły się w większe firmy. Kilkadziesiąt się sprywatyzowało. Dziś pod nazwą PKS hula ponad 100 spółek – państwowych, samorządowych, pracowniczych oraz jak najbardziej prywatnych, należących do gigantów transportu dalekobieżnego.

Mali przewoźnicy, którzy wypychali się na najbardziej opłacalne trasy i podbierali klientów PKS-om, osiągnęli ponad 20 proc. rynku i 10 lat temu przewozili rocznie 150–180 mln pasażerów.

Jeszcze lepiej degrengoladę PKS pokazywało to, że gdy w 2001 r. publiczni przewoźnicy mieli monopol na krajowe przewozy międzymiastowe, to należało do nich 91 proc. rynku. W 2014 r. wskaźnik ten zanurkował poniżej 30 proc. I spada do dziś. PKS-y więc kombinują: prowadzą stacje paliw, kontroli pojazdy, napraw, ośrodki szkolenia kierowców, serwisy opon, warsztaty. Jeszcze dwie dekady temu przewóz osób stanowił 71 proc. przychodów, dziś dużo mniej niż połowę.

W roku 1990 r. PKS-ami jeździło ponad 2 mld pasażerów. W 2015 r. z usług autobusów i busów skorzystało 416,8 mln osób, a w 2023 podróżnych było tylko 257 mln. A skoro w 2015 r. pociągami podróżowało 277 mln osób, a w 2023 już prawie 374 mln, to oznaczałoby, że w ostatniej dekadzie kolejni miliony ludzi z prowincji przesiadali się do własnych samochodów albo po prostu nigdzie się ze swojej miejscowości nie ruszają. Bo z 60 mln pasażerów coś musiało się stać.

Wszędzie w UE komunikacja publiczna jest zadaniem własnym samorządu, a nie państwa czy przedsiębiorców. Autorzy uchwalonej w 2011 r. ustawy o pu-

blicznym transporcie zbiorowym, chcąc zmusić samorządy do zajęcia się problemem komunikacji, wprowadzili zmiany w zasadach rozliczeń zwrotu ulg ustawowych. Według nowych zasad przewoźnik, aby móc otrzymać zwrot ulg, musiał zawrzeć umowę z lokalnym samorządem, na którego terenie realizował komunikację. Oznaczało to, że samorząd siłą rzeczy zostanie organizatorem, przewoźnik zaś operatorem. Istniała szansa, że organizatorzy będą warunkować podpisanie umowy stawianymi przez siebie wymogami dotyczącymi taboru, oznaczeń kursów czy rozkładów jazdy lub tras. Przepis ten miał wejść od stycznia 2017 r. Nie wszedł.

Gminy przywykły więc do tego, że najpierw państwowy, a później komercyjny przewoźnik organizował regularną komunikację na ich terenie bez pobierania od nich za te usługi kasy. Przewoźnicy komercyjni kursowali wtedy i tam, gdzie im się to opłacało. Skutek był taki, że

busy jeździły i jeżdżą tylko w godzinach szczytu, i to jedynie na trasach, gdzie jest dużo pasażerów. Małe miejscowości zostały de facto odcięte od komunikacji publicznej. Przyczyna jest prozaiczna – forsa.

Gdyby samorządy zaczęły dopłacać do PKS-ów, tak jak to się dzieje z komunikacją miejską, na wsi zrobiłoby się jak w mieście.

Włodarze do busów!

Skoro zaś małe gminy nie są zainteresowane losem mieszkańców komunikacyjnie wykluczonych, to nadzieję należało pokładać w powiatach, które mają ustawową kompetencję do zawierania umów na refinansowanie ulg i same na terenach biernych gmin organizują komunikację dla tych, którzy obecnie jej nie mają.

Tęgo też nikt się nie doczekał. Dworce autobusowe w tysiącach polskich miast i miasteczek, które jeszcze 30 lat temu odprawiali co parę minut autobus z jednego z kilku stanowisk, albo już są sprzedane, albo porastają perzem. Rozkłady jazdy zniknęły z nich lata temu. Pamięć o tym, o której można wsiąść do jakiegoś autobusu, jest tam przekazywana z ojca na syna. Turysta, któremu zdarzy się w takim mieście popsuć samochód, nie ma szans na dowiedzenie się, skąd i co odejść. Na wsiach jest jeszcze gorzej. Można czekać i się doczekać, tyle że jeśli autobus będzie pełny, to niekoniecznie się zatrzyma.

NIK nie zajęła się już więcej ogólnopolskim wykluczeniem komunikacyj-

nym, ale w 2021 r. na Pomorzu zainteresowało ją wprowadzanie ustawy o FRPA. I wyszło jej, że ta forma wspierania samorządu terytorialnego ma sens o tyle, o ile tylko samorząd chce skorzystać. Na wnioski samorządów wojewoda przekazał im z funduszu w latach 2019–2021 ponad 71 mln zł. Dzięki tej kasie powstały 63 linie autobusowe o łącznej długości 1877,8 km. Liczba zatrzymań autobusów na przystankach wzrosła zaś o 1864. Okazało się, że jak samorządy umie i chce, to można z wykluczenia komunikacyjnego wyłączyć tysiące ludzi.

W ostatnim roku rządzenia PiS fundusz miał do rozdania 1 mld zł. W marcu zeszłego roku z wykluczeniem komunikacyjnym walczyć zaczęła nowa władza. Powiaty, związki powiatowe, związki powiatowo-gminne, związki gminne i gminy miały otrzymać kasę na zakup pojazdów elektrycznych, wodorowych i hybrydowych oraz zasilanych paliwami alternatywnymi, a także na niezbędną infrastrukturę do ich ładowania i tankowania. Łączna kwota przyznanego dofinansowania na 207 autobusów wyniosła niecałe 286 mln zł. Na zakup każdego z takich pojazdów samorząd musiał mieć ok. 10 proc. środków własnych. Po roku nie sposób dowiedzieć się, czy byli jacyś chętni.

Efekt pisowskiej walki z wykluczeniem komunikacyjnym jest taki, że dziś 15 mln Polaków doświadcza wykluczenia transportowego. W ciągu ostatnich pięciu lat ubyłoby 300 tys. km linii autobusowych. 25,8 proc. polskich wsi nie ma bezpośredniego połączenia autobusowego lub kolejowego z miejscowością gminną. W porównaniu z danymi z 2014 r. w niemal 500 gminach przybyło miejscowości, którego takiego połączenia są pozbawione. W 531 gminach odsetek sołectw wykluczonych komunikacyjnie przekraczał 40 proc., a w kolejnych 298 mieścił się w przedziale 25–40 proc. Ba, w 357 gminach średni czas dojazdu do miasta wojewódzkiego jest dłuższy niż dwie godziny.

Do tego ogródka swój kamyczek wrzucił UNICEF Polska. Zbadał rzecz i wyszło mu, że Janków Muzykantów będzie u nas – właśnie z powodu braku autobusów – przybywać. Co szósta osoba w wieku 12–19 lat jest zagrożona wykluczeniem transportowym. 30 proc. badanych uważało, że w ich miejscu zamieszkania dostęp do komunikacji publicznej jest problemem. 44 proc. uczniów szkół średnich, wybierając swoją szkołę, kierowało się dostępnością dogodnych połączeń.

Gdy do tego wszystkiego dołożymy, że cena biletu miesięcznego na obszarach wiejskich sięga ośmiu stów, a w takiej Warszawie wynosi 98 zł – to aż dziw bierze, że nikt nie zaproponował jeszcze ustawy, która zabraniałaby władzom gmin wiejskich korzystać z transportu innego niż zbiorowy – żadnych kilometrów i samochodów służbowych. Gdyby taki myk zastosować, to włodarzom małych ojczyzn nareszcie może zaczęłoby się chcieć, bo odczuliby wykluczenie transportowe na własnych tyłkach.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Krowarzywa, sieć wegańskich fast-foodów, która przez dekadę karmiła Polaków roślinnymi burgerami, znikła z rynku. Pod koniec marca zgasała światła w ostatnim lokalu przy ul. Chmielnej w Warszawie. Marka, założona w 2013 r., w szczytowym momencie rozwoju liczyła 22 lokale w 10 największych polskich miastach. Dzierżyła tytuł króla kuchni roślinnej. Rosnące koszty i spadek liczby klientów o połowę sprawiły, że biznes przestał być opłacalny. Szkoda, że ludzkość woli pożerać trupy zwierząt niż zdrowe i etyczne posiłki.

■ Prokuratura w Jaworznie postawiła 74-letniej lekarce 6 tys. zarzutów fałszowania dokumentacji medycznej i czerpania z tego korzyści finansowych. Sąd uznał, że materiał dowodowy nie uprawdopodobnia popełnienia zarzucanych czynów. W związku z tym sprawę umorzono, ponieważ zdaniem sądu

nie doszło do popełnienia czynu zabronionego. Jaworznickiej prokuraturze można jedynie zasugerować, że jeśli stawia się 6 tys. oskarżeń, warto zadbać, by przynajmniej jedno było prawdziwe.

■ Andrzej Duda wezwał Stany Zjednoczone do rozmieszczenia broni jądrowej na terytorium Polski, uznając to za środek odstraszający przed ewentualną agresją Rosji. Skoro granice NATO przesunęły się na wschód w 1999 r., to 26 lat później powinna nastąpić także relokacja infrastruktury sojuszu – perorował Duda. Pan prezydent oczywiście zwirował. Rozmieszczenie broni jądrowej w Polsce mogłoby uczynić kraj celem ataku nuklearnego. W rzeczywistości osłabiłoby, a nie zwiększyło bezpieczeństwo narodowe.

■ W Pruszkowie na Mazowszu złodzieje dokonali ściąszenia spektakularnego skoku. Łupem padł wąż 36,5 tony czołg T-55, który dyskretnie zniknął sprzed skupu złomu przy ul. Przejazdowej. Śledztwo nadzoruje prokuratura rejonowa. Sprawcom uprowadzenia czołgu grozi do pięciu lat więzienia. Jak dotychczas, czołg nie został odnaleziony – zapewne mistrzowie kamuflażu zaparkowali go gdzieś między garażami. Patrząc na ogólną sytuację w kraju, można się spodziewać, że niedługo ktoś spróbuje wynieść okręt podwodny.

■ Ceny przyhotelowych miejsc parkingowych dorównały tym, które jeszcze niedawno płaciliśmy za wynajem pokoi. Liderem są Międzyzdroje. Na przykład na Aurora Family & SPA, tuż przy molo, doba postoju kosztuje skromne 85 zł, a w Wave Międzyzdroje Resort & SPA – 110 zł, czyli niemal tyle, co nocleg w tańszych pensjonatach. Prawdziwy pokaz kreatywności daje Bachleda Hotel Kasprowy (wiadomo, gdzie). Za parking strzeżony zapłacimy 70 zł, za miejsce w garażu 100 zł, a dla tych, którzy chcą poczuć się naprawdę wyjątkowo, jest opcja VIP za... 500 zł doba! Tydzień luksusu kosztuje więc 3500 zł. W tej cenie można już wynająć auto z szoferem na całą dobę. Ale przecież wygoda parkowania w ścisłym gronie elitarnych samochodów musi mieć swoją cenę.

■ W Maruszynie (woj. małopolskie) doszło do prawdziwej owczej masakry: psy zagryzły aż 20 sztuk, siejąc spustoszenie w gospodarstwie. Interweniował hodowca. Schwytł jednego z napastników. Husky najwyraźniej pomylił Podhale z syberyjską tundrą. Wezwani na miejsce funkcjonariusze z Nowego Targu błyskawicznie rozpracowali sprawę dzięki mikroczipowi psa. Po okazaniu zdjęcia właścicieli rozpoznał swojego pupila, zapewne nie spodziewając się, że jego czworonóg dorobił się tytułu mordercy. W poczuciu winy przyjął

Co dalej z procesem piątki z Hajnówki?

Wsadzić wicherzyciela

Zaskakujący zwrot akcji w procesie piątki wolontariuszy oskarżonych przez Prokuraturę Rejonową w Hajnówce o pomoc migrantom na pograniczu polsko-białoruskim („NIE”, nr 6/2025). Oskarżyciel chce cofnąć z sądu akt oskarżenia, ale niekoniecznie po to, żeby zrobić im dobrze.

Wielkie zainteresowanie tym procesem ze strony ogólnopolskich i lokalnych mediów spowodowało wkurw na szczytach prokuratorskiej władzy w osobach ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara oraz prokuratora krajowego Dariusza Korneluka.

10 marca na stronie internetowej Prokuratury Okręgowej w Białymstoku pojawił się więc znaczący komunikat: „W dniu 06.03.2025 r. Prokurator Rejonowy w Hajnówce skierował do Sądu Rejonowego w Bielsku Podlaskim VII Zamięscowy Wydział Karny w Hajnówce wniosek na podstawie art. 344a § 1 k.p.k. o przekazanie sprawy o sygn. VII K 120/24 przeciwko K. J. M. i innym, oskarżonym o czyn z art. 264a § 1 k.k. (»Kto, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, umożliwia lub ułatwia innej osobie pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej wbrew przepisom, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5«) i inne, Prokuratorowi Rejonowemu w Hajnówce w celu uzupełnienia śledztwa o materiał dowodowy z postępowania Lubelskiego Wydziału Zamięscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Lublinie, ewentualnie w przypadku nieuwzględnienia przez sąd w/w wniosku, wydanie na kolejnym terminie rozprawy na podstawie art. 396a § 1 k.p.k. postanowienia o jej odroczeniu i zakresie oskarżycielowi publicznemu terminu 3 miesięcy do przedstawienia dowodów, których przeprowadzenie pozwoli na usunięcie braków dowodowych”.

I Trzaskowski syty, i Mentzen cały

– Chcą połączyć obie sprawy i być może przedstawić pięć dodatkowe zarzuty, bo ten materiał dowodowy zgromadzony przez hajnowską rejonówkę w osobie asesorki Magdaleny Rutyny jest, delikatnie mówiąc, taki sobie – mówi nam osoba z okolic resortu sprawiedliwości. – Tyle że ona jest uparta jak muł i zapowiada otwarcie, że wolontariuszom nie odpuści.

Przy tym nasz rozmówca stawia tezę, że ostatni ruch prokuratury trzeba odczytywać również w kontekście majowych wyborów prezydenckich. Jako unik, asekurację na kilka miesięcy.

– Cofnięcie sprawy w celu poszukiwania dodatkowych dowodów daje nadzieję, że takie dowody okażą się słabiutkie i dojdzie do umorzenia. A to znajdzie pozytywny oddźwięk wśród wyborców Trzaskowskiego, bądź co bądź ciągle oglądających się na słowo „humanitaryzm”. Fanom Nawrockiego i Mentzena komunikat prokuratury może się również podobać, bo być może po sięgnięciu po akt z Lublina wolontariusze z Hajnówki dostaną dodatkowe zarzuty – słyszymy.

W każdym razie materiał dowodowy z rejonówki był po raz kolejny uważnie studiowany w Prokuraturze Krajowej. Pod koniec lutego na polecenie szefa krajówki Dariusza Korneluka dyskretną wizytę w Hajnówce złożył prokurator regionalny Tadeusz

Marek z Białegostoku. Najnowszy komunikat białostockiej prokuratury okręgowej to pokłosie tej wizyty i rozmowy Marka z asesorką.

Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, w lubelskim śledztwie, do którego chce zajrzeć hajnowska rejonówka, chodzi o młodą kobietę, dobrą znajomą „piątki” oraz Pawła Wrabca – działacza Obywateli RP, byłego dziennikarza „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, zatrzymanego w Hajnówce w czasie podwózki migrantów.

Historia Wrabca to świetny przykład na to, jak pisowska władza traktowała swoich aktywnych krytyków – co staje się też powoli znakiem rozpoznawczym zezujących w prawą stronę rządu Donalda Tuska.

Pod koniec października 2021 r. policja zatrzymała Wrabca kilka kilometrów od granicy polsko-białoruskiej, bo zabrał do auta dwóch młodych obcokrajowców, którym udało się przedostać z Białorusi na naszą stronę. Trafił na 48-godzinny dołek i dostał zarzuty pomocnictwa w nielegalnym przekroczeniu granicy.

Satysfakcja braci Karnowskich

Prawie natychmiast w portalu bliźniat Karnowskich wpolityce.pl ukazał się pełen nieukrywanej satysfakcji wpis: „Paweł Wrabec miał przekonywać policjantów, że Irakijczyków spotkał przypadkowo na drodze prowadzącej do miejscowości Budy. Twierdził, że chciał im pomóc i dlatego zabrał ich do swojego samochodu. Planem Wrabca i innej działaczki Obywateli RP miało być przewiezienie młodych Irakijczyków do Warszawy. Wszyscy zostali zatrzymani przez policję. Wrabec i jego towarzyszka zostali doprowadzeni do Komendy Powiatowej Policji w Hajnówce. Sprawa aktywisty Obywateli RP pokazuje, jaki chaos panowałby przy granicy, gdyby nie obowiązywały przepisy dotyczące stanu wyjątkowego. Roiliby się tam od »dziennikarzy« i aktywistów, którzy, pod przykrywką humanitaryzmu, przeszkadzałyby służbom chroniącym nasze granice. Jeśli zarzuty wobec Wrabca się potwierdzą, grozi mu nawet 8 lat więzienia”.

Zaraz po tym w orlenowskiej „Gazecie Współczesnej” dał głos mł. inspektor Tomasz Krupa, rzecznik Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku – ten sam, który swego czasu miał udostępnić dziennikarzowi „Gazety Polskiej” dane wrażliwe funkcjonariuszy, w rezultacie czego organ Tomasza Sakiewicza musiał przeprosić za tekst szkalujący policjantów krytykujących syf na policyjnym dołku. A komenda wojewódzka wypłacić im stosowne odszkodowanie.

– Spotykamy się z bardzo różnymi tłumaczeniami osób, które przewożą osoby nielegalnie przebywające w Polsce. Zdarzył się przypadek, że ktoś wziął do samochodu cudzoziemców, żeby mogli się ogrzać. Tam absolutnie nie było żadnych zarzutów – pokazał serce policyjny rzecznik. Po czym natychmiast rozwiał wszelkie wątpliwości, jeśli chodzi o intencje wobec działacza Obywateli RP: – W tej konkretnej sytuacji, o której rozmawiamy, materiał dowodowy pozwolił na postawienie zarzutów...

Pasztet Ziobry

Według naszych źródeł sprawa Wrabca to pasztet, z którym ludzie Zbigniewa Ziobry i nadinspektora Jarosława „Granatnika” Szymczyka nie wiedzieli, co zrobić. Spośród wszystkich spraw dotyczących „podwózki” migrantów – czy to w celu zarobkowym, czy, jak w tym przypadku, w odruchu serca – ta jedna została odebrana z rejonówki, przekazana do Prokuratury Okręgowej w Białymstoku, skąd miała trafić do Prokuratury Regionalnej, a następnie, w dalszej kolejności, znaleźć się na biurku Bogdana Święczkowskiego, wówczas szefa Prokuratury Krajowej, a obecnie Prezesa Trybunału Konstytucyjnego?

Kiedy Święczkowskiego nie stało, do gry wkroczył Dariusz Barski, jego następca na stołcu prokuratora krajowego. Akta sprawy trafiły do wydziału zamięscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Lublinie.

Intencja takiego ruchu była tak czytelna, że aż zęby bolały: prokuratorzy z Lublina próbowali zrobić z Wrabca gangstera, który pod przykrywką pomocy humanitarnej prowadzi zakazany biznes ułatwiający migrantom nielegalne przekraczanie granicy. Żeby było śmieszniej, wiemy też, że przed wyborami 15 października 2023 r. Wrabcem zainteresowała się podlaska delegatura ABW.

Śledczy z Białegostoku: – Wezwana przez policję Straż Graniczna przejęła od niej dwójkę Irakijczyków z auta Wrabca i prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia zastosowała wobec nich push-back. I teraz najciekawsze: funkcjonariusze tak się spieszyli, że zapomnieli sporządzić protokoły z zatrzymania obcokrajowców, więc to ludzie-duchy, o których nic w tej chwili nie wiadomo. Kogo zatem przewoził w swoim aucie Wrabec – zapyta na rozprawie wysoki sąd? Może to było tylko mroźne podlaskie powietrze, a może resztki dymu tytoniowego?

Z tego, co słyszymy, byłemu dziennikarzowi policja bardzo chciała zafundować tymczasowy areszt, ale jeden z uczciwych prokuratorów się postawił, za co grożono mu postępowaniem dyscyplinarnym. Choć – jak twierdzi nasz rozmówca – nie było najmniejszych podstaw do takich surowych sankcji. Ale posadzenie Wrabca mogłoby przynieść odrobinę satysfakcji Jarosławowi Kaczyńskiemu, któremu ów wicherzyciel od lat psuł przeżywanie żałoby na miesięcznicach smoleńskich.

Paweł Wrabec ciągle czeka na akt oskarżenia.

JAN MIKOŁAJ PAR



rys. OBYWATEL JANKE

mandat 250 zł. Zobowiązał się do rekompensaty strat hodowcy, co, miejmy nadzieję, nie zakończy się jedynie przeprosinami i symbolicznym workiem paszy.

■ Minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz z dumą ogłosił, że Wojsko Polskie wzbogaciło się o nowoczesne maszyny do błyskawicznej budowy obiektów infrastrukturalnych, w tym schronów. „W krótkim czasie może powstać wiele takich miejsc” – zapewnił, podkreślając, że to efekt polsko-amerykańskiej współpracy. Regionalna Baza Logistyczna podpisała bowiem umowę z amerykańską firmą M.I.C. Industries na zakup systemu UBM (Ultimate Building Machine), który rzekomo ma zrewolucjonizować budownictwo obronne. Z ciekawości przyjrzelismy się tej „niesamowitej technologii” i cudownym schronom. I cóż... bardziej przypominają one pieczarki lub chłodnie na zwłoki niż konstrukcje zdolne przetrwać jakiegokolwiek bombardowanie. Jeśli ktoś liczył na solidną ochronę, to raczej powinien zacząć rozglądać się za głęboką piwnicą.

■ Wójt gminy Sztutowo Robert Zieliński w 2024 r. zarabiał skromne 12 tys. zł netto miesięcznie. Dla gminy całkowity koszt jego wynagrodzenia, uwzględniający składki i inne zobowiązania, wynosił ponad 22 tys. zł. Jak

przysłało na dobre wynagradzanego samorządowca, w pakiecie otrzymał również 13. pensję, ekwiwalent za urlop (czyli dodatkową pensję) oraz pomniejsze dodatki, kilometrówki i inne luksusy urzędniczego życia. Prawdziwym majstersztykiem był jednak jednorazowy przelew z maja 2022 r. – 30 tys. zł wyrównania za poprzednie miesiące. Bo wiadomo, że życie na jednej pensji bywa trudne. Aby zrównoważyć tę hojność, Zieliński postanowił zadbać o finanse gminy w jedyny znany urzędnikom sposób – drastycznie podnosząc podatki od nieruchomości (o 70–150 proc. w zależności od rodzaju) oraz opłaty za śmiecie (o 95 proc.). Miejscowe media podają dla porównania, że we wrześniu 2024 r. pensja ministra spraw zagranicznych wynosiła nieco ponad 10 tys. zł. To akurat żaden argument. Wójt przynajmniej coś robi (podnosi podatki), a MSZ od dłuższego czasu nie robi nic.

■ Regionalna Izba Obrachunkowa w Białymstoku przypomina gminom, że fundowanie wycieczek kół gospodyń wiejskich do Lichenia to, o dziwo, nie jest zadanie własne samorządów. W końcu, jak twierdzi RIO, dotacje mogą być przeznaczane na realizację zadań publicznych, a nie „podmiotowe finansowanie”, czyli, tłumacząc z urzędniczego na polski, na grabki i sprzątanie skwerów, ale już nie na pielgrzymki i paciorki. Problem w tym, że RIO śmiało

wkroczyło na niebezpieczny teren, bo próba wygrania starcia z kołem gospodyń wiejskich to jak próba zatrzymania wiatru, zasypiania ziemi czy ugaszenia ognia benzyną. Ponad 400 tys. członkin KGW to siła, z którą nawet biurokracja powinna się liczyć. Czy gminy znajdą sposób, by pogodzić Licheń z przepisami?

■ Kołobrzeg, znany z plaż, sanatoriów i wszechobecnego zapachu jodu, powiększył terytorium. Miasto wchłonęło osadę Korzyścienko, dodając do swoich granic całe 122 hektary. Efekt demograficzny tej ekspansji? Imponujący wzrost liczby mieszkańców... o jedną osobę. Władze Kołobrzegu zapewniają jednak, że nie chodzi tu o statystyki, tylko o ambitne plany stworzenia strefy aktywności gospodarczej – nowego eldorado przemysłowego, gdzie powstaną farmy fotowoltaiczne i magazyny energii. Brzmi obiecująco. Według magistratu cała operacja nie kosztowała miasta ani grosza. 122 hektary darmo? Oczywiście, jak wiadomo, jeśli coś na początku jest tanie, to później bywa... drogie.

■ Chaos komunikacyjny w centrum Łodzi. Awaria parkomatów sparaliżowała kierowców, którzy w panice krawili ulicami w poszukiwaniu płatnych miejsc parkingowych, zmuszeni do pokonania nawet 2–3 km. Wrodzona uczciwość nie pozwalała im parkować bezpłatnie.

To poczucie uczciwości i sensu życia z pewnością wzrosło od 1 maja, kiedy opłata za godzinę postoju w strefie A wzrosła do 6,9 zł.

■ Albert i Raja, para gdańskich orangutanów, właśnie dmuchają w 53 świeczki na urodzinowym torcie (prawdopodobnie marchewkowym). Albert, typowy Niemiec urodzony w 1972 r. w Monachium, wyładował w Gdańsku w 1997. Raja, również reprezentantka niemieckiej precyzji, dołączyła do niego w 2000 r., importując jako w pierwszego małżeństwa – Rona. Sama to w rodzinie patchworkowej, sielanka nie trwała wiecznie. Ron i Albert – klasyczny przykład „kocham cię jak syna żony” – doprowadzili do rodzinnego dramatu. W efekcie młody Ron został delikatnie zesłany do innego zoo.

■ Firma Panek, dotychczasowy lider carsharingu w Polsce, ogłasza odwrót. Związa manatki. Przyczyną mają być gigantyczne koszty praw i ubezpieczeń sięgające średnio 3 tys. zł miesięcznie na auto. Winą za ten stan rzeczy obarcza się klientów, którzy dewastują pojazdy, kradną wyposażenie i powodują wypadki, nierzadko pod wpływem alkoholu. Przykład: los nowego Porsche Cayman rozbitego zaledwie 12 godzin po dołączeniu do floty. Panek chwalił się imponującymi statystykami – milionem klientów, 200 mln przejechanych kilo-

metrów i flotą 2,7 tys. aut w 250 miastach – ale to właśnie kultura Polaków miała przyczynić się do fiaska przedsięwzięcia. Czy cała idea carsharingu w Polsce jest skazana na porażkę?

■ Hulajnogi – plaga czy pojazd? W latach 2022–2024 w Polsce odnotowano 1842 wypadki z udziałem tych elektrycznych potworków. 11 użytkowników zapłaciło najwyższą cenę, a 537 odniosło obrażenia. Ale cierpią nie tylko hulajnogowi wariaci. Piesi też obrywają – dwie ofiary śmiertelne i 189 rannych. Nawet rowerzyści nie są bezpieczni – 128 poszkodowanych. Na tle kraju wyróżnia się Kraków z 228 wypadkami we wspomnianym okresie. To paradoks, bo Warszawa, mając ponad dwa razy więcej mieszkańców, zanotowała ich przez dwa lata tylko 149. Hmm, Krakowiaczy, a zachowują się jak górale.

■ Jest wiosna! Rozkwitające alergie, błoto po kostki i ten wszechobecny pyłek, który zamienia nos w kran. Cóż, kto przeżyje, ten bohater. Reszta niech szuka pocieszenia w aptece.

RJ

PS Informacje mogą być zgodne z rzeczywistością, ale również dobrze mogą być niezgodne. Niech ktoś to wie? Pochodzą z doniesień prasowych, zarówno tych lokalnych, jak i mniej oficjalnych, do których należy podchodzić z ograniczonym zaufaniem. W związku z tym, nie ponosimy żadnej odpowiedzialności, zwłaszcza prawnej, za ich treść.

Jeszcze o marksizmie Stanisława Lema

W rocznicę śmierci Mistrza

Zachwyił Wschód i Zachód, Rosjan i Niemców, Amerykanów i Japończyków. O transhumanizmie pisał przed transhumanizmem. „Solaris” sfilmował najpierw genialny rosyjski mistyk kina Andriej Tarkowski, guru Ingmara Bergmana, a potem nagrodzeni Oscarami twórcy z Hollywood: Steven Soderbergh i James Cameron. Bohaterowie zaludniają dziś wyobraźnię przeciętnego mieszkańca Ziemi, tacy jak Terminator czy Matrix, są jego potomstwem. Także w Polsce na internetowych forach czci „Mistrza” liczne grono wyznawców. W marcu mija rocznica śmierci Stanisława Lema (1921–2006) wielkiego polskiego pisarza i myśliciela.

Przemilczenia

„Lem. Życie nie z tej ziemi” – biografia pióra Wojciecha Orlińskiego – doczekała się już dwóch wydań (wspominałem już o niej w „NIE”, 27/2024). Autor miał dostęp do prywatnego archiwum Lema, co czyni jego książkę szczególnie interesującą. Niestety, Orliński wybiórczo opisuje prace Lema, pomijając to, co nie pasuje do jego poglądu, przeinacza jego wypowiedzi, pomniejsza ich wagę – co prowadzi go do komfortowej konkluzji, że Lem „nigdy w tę ideologię” – komunizm – „nie uwierzył do końca”.

Forsując tę tezę, Orliński przemilcza m.in. wykład uproszczonej wersji marksistowskiego materializmu historycznego („histmatu”) z „Dialogów” z połowy 1957 r. Słowami Filonousa i Hylasa Lem przedstawił „histmat” jako szczytowe osiągnięcie nauk społecznych. Twierdził również, że „jedyne konkurujące dziś z socjalistycznym systemem, kapitalistyczny, znajduje się bez wątpienia u schyłku swego istnienia”. (Po śmierci Lema to zdanie tajemniczo zniknęło w opublikowanym przez The MIT Press wydaniu „Dialogów” z 2021 r.).

W odróżnieniu od kapitalizmu socjalizm oparty jest nie na prywatnej, lecz na społecznej własności środków produkcji. Tę własność społeczną przedsiębiorstw autor „Cyberiady” naiwnie utożsamiał z ich nacjonalizacją. Pisał, że uspołecznienie środków produkcji jest konieczne z dwóch powodów; w języku współczesnej ekonomii „głównego nurtu” jest to efektywność gospodarowania i sprawiedliwość (równość).

Po pierwsze, zdaniem Lema, własność społeczna i planowanie likwidują marnotrawstwo spowodowane wahaniami koniunktury, typowe dla kapitalistycznej gospodarki opartej na własności prywatnej.

Umożliwiają także pełną automatyzację produkcji i potężny wzrost produktywności pracy. Tylko uspołeczniona gospodarka może poradzić sobie z „bezrobociem technologicznym” (maszyny zabierają pracę ludziom itd.), powodowanym, np. w Stanach Zjednoczonych, przez automatyzację. Po drugie, chodzi o „przyczyny natury moralnej, nakazujące potępić zachodzący w nim (w kapitalizmie – B.Cz.) wyzysk” i „deformowanie ludzkiej psychiki przez ten system”. Lem pisze: „Każdy, kto żyje i chce żyć w systemie kapitalistycznym, musi przyjąć jego reguły gry, a są one bezzwzględne. (...) Kto tego nie umie albo nie chce, musi ponieść klęskę. Perturbacje ekono-

miczne, oscylacje rynkowych sprzężeń decydują tu o losach ludzkich. Wszystko, co jest wartością, jest zarazem towarem. Toczy się nieustająca walka ekonomiczna, w której zwycięstwo należy do silniejszych, a nie do lepszych”.

Dalej, według Lema, nieuchronność zwycięstwa socjalizmu jest przejawem odkrytej przez marksistów ogólnej prawidłowości rządzącej rozwojem społeczeństw: „Marksistowski materializm historyczny określa podstawowe prawo, wspólne wszystkim możliwym systemom społecznym, mianowicie przyczynową zależność (...) stosunków międzyludzkich od stosunków produkcyjnych, tj. sposobów wytwarzania dóbr”. W szczególności zastąpienie prywatnej własności przedsiębiorstw ich własnością społeczną jest wynikiem automatyzacji produkcji.

W „Dialogu VII” Lem szczegółowo opisał także komunizm, czyli „system idealny”, do którego – jego zdaniem – socjalizm jest wstępem. Także dużą część „Dialogu VIII” poświęcił rozważaniom o społeczeństwie komunistycznym, nazywanym tu m.in. „kryształowym pałacem” (za Fiodorem Dostojewskim). O wszystkim tym Orliński milczy.

Aż się prosi zatem, żeby zapytać: Panie Orliński, jak ten Lemowy wykład „histmatu” i indoktrynację czytelników godzi Pan ze swoją opinią, że „w 1956 r. Lem ma trzydzieści pięć lat i ukształtowane credo (...) światopoglądowe i polityczne. O ile mi wiadomo, nie zna wtedy jeszcze krytycznych prac Karla Poppera (...), ale jego własna krytyka wygląda podobnie. Docenia rolę Marksa jako jednego z wielu filozofów XIX wieku, ale nie wierzy w jego dwudziestowieczne leninowskie wcielenie”? Krytyka marksizmu podobna do tej autorstwa Poppera? Przecież sam kilka stron wcześniej cytuję pan list Lema, z którego wynika, że w 1956 r. uważał on myślici Marksa za „świetnie zaprojektowane, choć dziś nieco archaiczne”. Ebenezer Rojt, który znęca się nad panem w swoim sławnym serwisie (<https://kompromitacje.blogspot.com>), zwraca uwagę, że „świetnie zaprojektowane” to w istocie anty-Popper, gdyż krytyka Poppera sprowadza się właśnie do diagnozy, że sam fundament Marksowskiego projektu (historycyzm) był do niczego”.

Przeinaczenia

Wbrew faktom, ignorując lemowy materializm historyczny z „Dialogów”, Orliński przekonuje czytelników, że Lem w pierwszej połowie lat 50. XX w. „odrzucał marksowską kategorię »konieczności dziejowej«” gdyż „uważał, że nawet jeśli istnieją jakieś »obiektywne prawa historii«, ludzkość ich zapewne nigdy nie pozna, więc nie można z nich tworzyć fundamentu programu politycznego”. Tę opinię uzasadnia fragmentem listu Lema z 1953 r.: „Dlaczego »berło cywilizacji« przechodziło w ciągu wieku z jednych narodów do rąk innych – na to pytanie nie znalazłem w marksizmie wyraźnej odpowiedzi poza ogólnikami (...), prawa obiektywne rozwoju społecznego to nic innego, jak NIEZAMIERZONE SKUTKI SPOŁECZNEJ DZIAŁALNOŚCI LUDZI (...) NIEZAMIERZONE, NIEZAPLANOWANE, a raczej NIEPRZEWIDZIANE” (wielkie litery Lema).

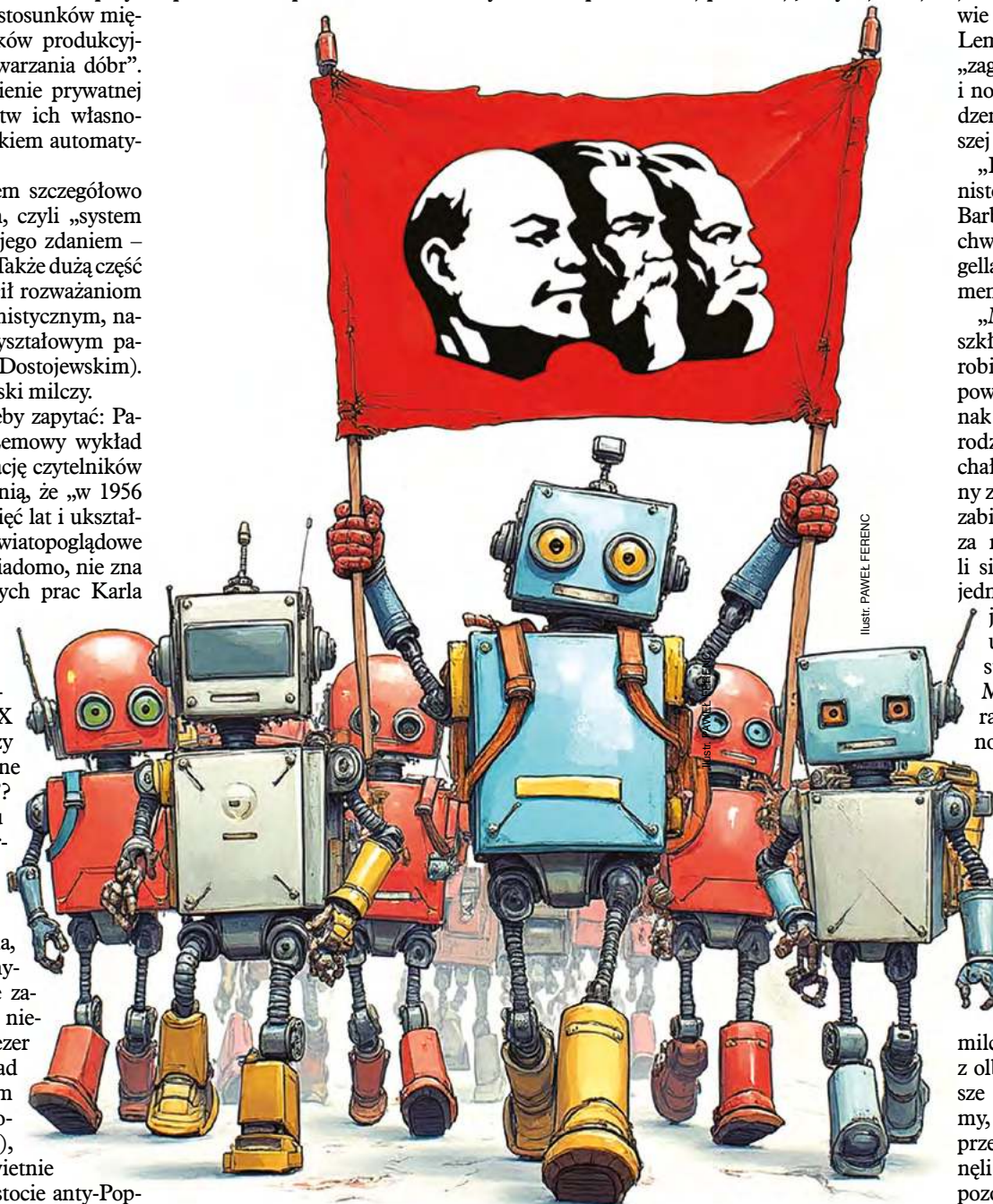
Krótko mówiąc, Orliński pomylił „niepoznane” z „niepoznawalnym”. W cytowanym liście do przyjaciela Lem pisał jedynie, że marksizm nie wyjaśnił wszystkich zdarzeń historycznych, co uzasadnia potrzebę rozwijania

marksizmu. Owszem, dodawał, że prawa rozwoju społecznego są niezamierzonym (niezaplanowanym, nieprzewidywanym) skutkiem działań ludzi. Wbrew Orlińskiemu nie wynika stąd jednak, że prawa te nie istnieją lub że są niepoznawalne. Na przykład prawa ekonomiczne także są niezamierzonymi skutkami działalności gospodarujących ludzi. Przynajmniej od czasów Adama Smitha (1723–1790) pisało i pisze o tym wielu ekonomistów. Nikomu nie przychodzi jednak do głowy, aby na tej podstawie zaprzeczać istnieniu czy też

gałoby ot na czym: większość państw socjalistycznych daje wolną rękę eksperymentowania na polskim i jugosłowiańskim półkach doświadczalnych, pomagając, a nie przeszkadzając, gdyż oczywiste jest, że ew. sukces byłby sukcesem komunizmu jako koncepcji przebudowy świata”...

Warto porównać ten wywód Lema z fragmentami pisanych w tym samym czasie „Dialogów”.

„Jest rzeczą niesłychanej doniosłości odróżnić niepowodzenie pierwszej próby, jednego eksperymentu na drodze do celu (...), od udowodnienia obiektywnej niemożliwości osiągnięcia tego celu. Z niepowodzenia eksperymentu wynika tylko, że się on nie udał, a nie że osiągnięcie celu innym sposobem, według innego planu, jest wykluczone”. I w innym miejscu: „Istnieje wiele możliwych wariantów zorganizowania uspołecznionej produkcji, a bynajmniej



możliwości poznania praw ekonomicznych. Żeby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do podręczników podstaw ekonomii pełnych „praw malejących przychodów”, „praw Engla”, „praw popytu”, „praw podaży”, „praw Okuna” itd. Odnosząc jeszcze, że chwilę wcześniej w tym samym liście Lem pisał: „My marksiści doskonale wiemy, jakie społeczeństwa rozwojem rządzą prawa”.

Dalej, broniąc opinii, że „Lem nigdy w tę ideologię nie uwierzył do końca”, Orliński przeinaczył myśli Lema z innego jeszcze listu. Wedle Orlińskiego Lem „nie wierzył w sens naprawiania tego systemu” – czyli „dwudziestowiecznego leninowskiego wcielenia” socjalizmu. Wszak w grudniu 1956 r. autor „Bajek robotów” pisał do przyjaciela: „1. »Eksperyment socjalistyczny wykazuje po bez mała 40 latach istnienie, że NIE TAK. Innymi słowy: doświadczenie w laboratorium euroazjatyckim wykazało fałszywość założeń, tj. konkretnie: planu konstrukcyjnego, wg którego ten model budowano. (...) 2. Rządy większości laboratoriów NIE CHCĄ przyznać, że się eksperyment nie udał i że trzeba konstrukcję przekształcić, zmienić w pewnych założeniach ISTOTNYCH plany i zacząć, na dobrą sprawę, eksperyment OD NOWA. (...) 4. Metodologicznie poprawne traktowanie problemu pole-

nie każdy z tych wariantów uruchamia automatyzmy społeczne zapewniające najwyższy wzrost produkcji w naszym interesie. Dlatego zachodzi doniosła konieczność eksperymentowania, tj. dokonywania prób, dla wyboru modelu właściwego”.

Oczywiście staje się wtedy, że w wiadomym liście

Lemowi szło o klęskę jednej z wielu możliwych wersji eksperymentu, polegającego na budowie socjalistycznego społeczeństwa, a nie, ogólnie, o klęskę socjalizmu uznawanego, po marksowsku, za wstęp do komunizmu.

Lem krytykuje autorów tej pierwszej w historii próby i zachęca do dalszego

eksperymentowania, a nie – jak sugeruje Orliński – nawołuje do zaprzestania eksperymentów. Nie pisze, na czym miałyby polegać kolejne wersje eksperymentu, choć Orliński przekonuje, że – zdaniem Lema – na pewno nie powinny one mieć nic wspólnego z „dwudziestowiecznym leninowskim wcieleniem” socjalizmu. Jednakże wypowiedzi Lema z eseju „Cybernetyka stosowana: przykład z dziedziny socjologii” z drugiego wydania „Dialogów” z 1972 r. sugerują coś przeciwnego. Ujawniają bowiem jego przywiązanie do uspołecznionej (znacjonalizowanej) gospodarki i do nakazowo-rozdzielczego systemu kierowania gospodarką. Podobna jest wymowa uwag Lema z 1957 r. o przemocy jako narzędziu budowy podstaw socjalizmu.

Bagatelizacje

Orliński bagatelizuje „Obłok Magellana” (1955), a zwłaszcza rozdział „Komuniści”, twierdząc, że jego wymowę osłabia to, że „samej partii komunistycznej w tej powieści nie widzimy”, a „rozdział zatytułowany »Komuniści« wcale nie jest o nich”. Nie wspomina o przedmowie do „Obłoku Magellana”, w której Lem pisze, że powieść dotyczy m.in. „zagadnień organizacji społeczeństwa i norm społecznych w okresie przechodzenia społeczeństwa z niższej do wyższej fazy komunizmu”.

„Komuniści” to pean na cześć komunistów i komunizmu. Nie przypadkiem Barbara Lem krytykowała męża za wychwalanie komunizmu w „Obłoku Magellana”, a i sam Lem od pewnego momentu zakazał wznawiania tej książki.

„Martin był robotnikiem w hucie szkła. Jeden z wielu, robił to, co dziś robią maszyny: żywymi płucami tłoczył powietrze w rozżarzone szkło. Był jednak człowiekiem, a nie maszyną, miał rodziców, brata, dziewczynę, którą kochał, i pojmował, że jest odpowiedzialny za wszystkich ludzi na Ziemi; za losy zabijanych i zabijających tak samo, jak za najbliższych. Tacy ludzie nazywali się wtedy komunistami. Martin był jednym z nich. Państwo tropiło i zabijało komunistów, musieli się więc ukrywać. Tajnej straży, zwanej »Ge-stapo«, udało się go pochwytać. (...) Milczał. Poddano go mękom. Wiele razy oblewał się krwią, wtedy cucono go. Milczał dalej. Z połamanymi żebrami i trzewiami popękanymi od ciosów pałki, został umieszczony w szpitalu. Leczone go, aż wrócił do sił, i znowu bito go, lecz milczał dalej. (...) Przed śmiercią, słysząc kroki tych, co szli go zabić, wstał i na ścianie swojej kamery wyrzył słowa: »Towarzysze, ja... Więcej nie zdążył napisać, tylko te dwa słowa pozostawił, przerwawszy swoje dwuletnie milczenie, i ciało jego zgniło w jednym z olbrzymich dołów wapiennych» – pisze Lem. „Oto straszliwy dług, jaki my, żyjący, zaciągnęliśmy u najdalszej przeszłości wobec tysięcy tych, co ginęli jak Martin, ale nawet ich nazwiska pozostaną nam nieznanne. Oto jedyna racja, dla której umierał, wiedząc, że żaden lepszy świat nie wynagrodzi go za mękę i jego życie nie zawsze skończy się w dole wapiennym, że nie przyjdzie żadne zmartwychwstanie ani odpłata. Lecz jego śmierć w tym milczeniu, które sam sobie nałożył, może o minuty, a może o dni czy tygodnie – to wszystko jedno! – przyspieszyła nadejście komunizmu”.

To jak to jest, panie Orliński? Rozdział „Komuniści” nie jest o komunistach? Czegóż jeszcze potrzeba, żeby przyznał pan, iż w „Obłoku Magellana” Lem propagował komunizm?

...

Życzliwa dla Orlińskiego ocena tych wszystkich przemilczeń, pokrętnych wykładni, bagatelizacji jest taka, że jego biografia Mistrza ucierpiała na skutek pośpiechu i rażącego braku staranności autora. A ocena inna jest taka, że doszło do manipulacji, mającej przekonać czytelnika do przyjętej z góry, chwilowo „poprawnej politycznie”, tezy („Lem nigdy w tę ideologię nie uwierzył do końca”). Panie Orliński, którą wersję pan wybiera?

BOGUSŁAW CZARNY

* Pierwsza wersja tego artykułu ukazała się w styczniu 2025 r. w Gazecie SGH pod tytułem Jeszcze o ekonomii Stanisława Lema (<https://gazeta.sgh.waw.pl/ksiazki/jeszcze-o-ekonomii-stanislawalema>).

Pamiętam doskonale, jak w podstawówce tyły zeszytów moich kolegów pobazgrały były kutasami we wszelkich możliwych odmianach. Większość z nich z tej manii się z czasem wyleczyła, gdy w końcu faktycznie zaznali, do czego służy to, co noszą między nogami. Niestety, nie wszyscy.

Niektórym te fiuty ze łba nie zniknęły i zapisali się do Konfederacji. Albo zostali polskimi pisarzami fantasty i science fiction napełniającymi słownymi fujarami swoje książki, w których kobieta to kurwa i idiotka, a wzorcem faceta jest debil latający z mieczem czy toporem, za którym panny wzdychają, bo taki neandertalczyk musi być dla eterycznych niewiast pociągający jak lot na Marsa dla Elona Muska.

Przeklęta edukacja seksualna

Marek Krajewski lata temu zasłynął serią kryminałów o Eberhardzie Mocku, które toczyły się w Breslau, czyli przedwojennym (a potem i wojennym) Wrocławiu. Nigdy ich nie lubiłam – każdy, kto zna dzieje Breslau, wie, że romantyzowanie miasta na wschodniej flance Trzeciej Rzeszy (takiego ichniego Białegostoku), które wślawiło się np. najdrastyczniejszymi prześladowaniami Żydów podczas nocy kryształowej, jest zwyczajnie głupie. Tym bardziej że Mock to damski bokser i generalnie podła kreatura.

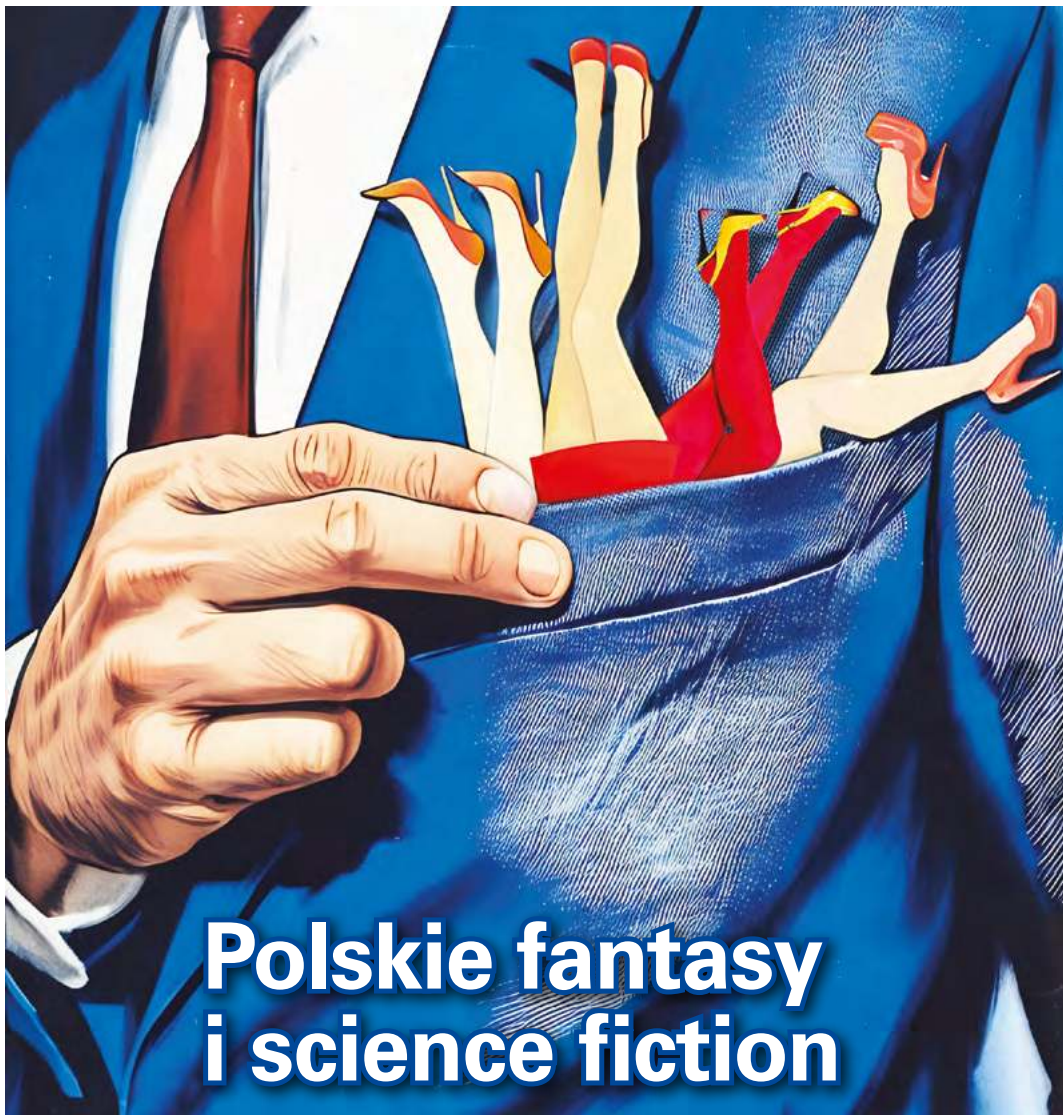
Zbliżający się do sześćdziesiątki Krajewski niedawno pozazdrościł takim klasykom polskiej fantastyki jak Rafał A. Ziemkiewicz i Jacek Piekara i opublikował w – kiedyś poważnym – wydawnictwie „Znak” książkę „Ostatni pisarz”. Choćbym nie wiem jak się starała, nie jestem w stanie sparodiować prawicowego oszołomstwa, które autor umiejscowił także we Wrocławiu, ale za parędziesiąt lat.

Już na pierwszych stronach dowiadujemy się, że w przyszłości wstajesz rano i przeglądasz newsy, „a tu nagle na twojej ścianie rozlewa się obraz mężczyzny uprawiającego seks ze świnią. Pół biedy, kiedy jesteś sam, ale przecież śniadanie mogłeś jeść z dzieckiem. Wiem, że teraz gładzę i narzekam na jakiś regres, bo przecież dzieci już w wieku trzech lat są zapoznawane, jak to kiedyś mówiono, z »tajemnicą życia«. Pokazuje im się w przedszkolu filmiki przedstawiające seks i charakteryzuje się poszczególne jego fazy”.

Wiadomo, że każdy prawak najbardziej boi się seksu, swoje lęki uzasadniając rzekomą ochroną dzieci. Edukacja seksualna jest dla niego tak przerażająca dla tego, że dziecko dowiaduje się, że należy szanować jego granice i go nie krzywdzić.

Taka gówniara może potem domagać się szacunku w każdej sferze od innych ludzi, włącznie z mężczyznami.

A przecież dekadę temu złoty standard ustanowił Ziemkiewicz pamiętnym wpisem w sieci: „No cóż, kto nigdy nie wykorzystał nietrzeźwej niech rzuci pierwszy kamień... Ale jak zakon-



Polskie fantasy i science fiction

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mokre sny intelektualnych impotentów

nik to kara konieczna”. Było to w kontekście artykułu „Wyborczej” o gdańskim dominikanie, który zgwałcił pijaną 19-latkę. Sprawę umorzono, bo dziewczyna odmówiła zeznań, nie chcąc przechodzić kolejnej traumy. Ziemkiewicz wszelką krytykę skomentował w swoim niepodrabialnym stylu, pisząc na Twitterze: „O, kawały o mnie chodzą: ulubiony pornos RAZ-a? »Śpiąca Królowna»”.

W końcu, jak swego czasu śpiewał punkowy Dezter:

„Jeśli jesteś facetem, zachowuj się jak facet.

Kradnij, gwałć, masakruj.

To właśnie są ich rady.

Jeśli nie wiesz, jak być męskim, Powiedzą ci reklamy”.

Ale nie, powie ci też Krajewski.

Mięczaki udają twardzieli

Prawdziwy mężczyzna to policjant (jeden z głównych bohaterów książki) lub tytułowy pisarz (Skryptor), aż nazbyt czytelne alter ego

Krajewskiego. Taki ktoś, kto jest wzorem dla innych. Jedną z nielicznych scen z „Ostatniego pisarza”, którą zapamiętałam – a to przez jej niezamierzony absurd i dziaderstwo – jest spotkanie Skryptora z męską młodzieżą z wrocławskiego ogólniaka nr 20, imienia, a jakże, Bojowników o Równość i Różnorodność.

Skryptor ucieszył się, że wśród 14 uczniów nie było transmęczyzn. Mówił do nich „panowie”. Im kazał mówić „proszę pana”, a nie „osoba nauczycielska”. Taki odważny i politycznie niepoprawny! Czuł wyraźnie, że nagle staje się „rzecznikiem sprzeciwu i oporu, tak miłego nastoletnim sercom. To, co zaraz powie, okaże się natomiast prawdziwym zarzewiem buntu”.

I tu następuje długa przemowa, wedle której pisanie pamiętników (chyba, kurwa, nie słyszał w liceum o Janie Chryzostomie Pasku!) czy sag rodzinnych, grzebanie w bebechach czy obarczanie winą rodziców i dziadków za rzekome nadużycie, jest poniżej samej godności: „Żadnej twórczości winy, wstydu i traumy! Pozostawmy to kobietom albo pisarzom o ograniczonej wyobraźni”.

Natchniony Skryptor płonie jak podpalana swego czasu przez kiboli stołeczna tęcza: „Zostaniemy kreatorami literatury męskiej. O walce, przetrwaniu, honorze. O tych trzech arcy-męskich postawach. O obronie najbliższych, która czasami musizamięci się w agresję. Odpowiedzialności za słabych, za kobiety i dzieci. O odwadze w wyznaczaniu nowych trendów, w wytyczaniu nowych dróg. To jest postawa godna mężczyzny! To są męskie tematy! I o tym będziemy pisać ostrymi słowami, nie zważając na to, czy jakiś nadwrażliwiec zostanie dotknięty”.

Jeśli postawą godną mężczyzny jest wytyczanie nowych dróg, to w książce Krajewskiego jest jej tyle, co wdzięku w Mariannie Schreiber. Bo polska fantastyka jest nasycona wrogością wobec kobiet niczym kieszenie Pinokia Morawieckiego pieniędzmi. Jeżeli ktoś zna tylko

genialnego Stanisława Lema, ewentualnie „Sagę wiedzmińską” (choćby z gier czy serialu) Andrzeja Sapkowskiego, to mogło mu to umknąć...

Najlepiej wyjaśnić to na przykładzie wzmiankowanych wcześniej Ziemkiewicza i Piekary.

Żądza seksu

Zacznijmy od czegoś lżejszego. Starego opowiadania Ziemkiewicza „Dobra wróżka”, które jeszcze chwilami nawet da się czytać, w odróżnieniu od późniejszej manii pisarza na punkcie Żydów i Adama Michnika. No i walki z komuną i feminizmem, choć za PRL-u o takim opozycjonistcie jak Ziemkiewicz nie słyszano.

„Dobra wróżka” to fantazja godna szóstoklasisty: „Niezapomniany widok: te rubinowe igły skanujących laserów, uwijające się w półmroku szybkim, migotliwym ściegiem po nagich udach i biodrach, pnące się coraz wyżej, przez pośladki, brzuch, ku piersiom... Zawsze wyobrażałam sobie, że modelki muszą to czuć, zazdrościłam im tej świetnej pieśczoły, delikatniejszej i czulszej niż wszystko, co mógłby ofiarować mężczyzna. Dziewczyna przeżyła w kolejnych nakazanych programem pozach, oddając skanerom każdy najintymniejszy skrawek ciała, a laserowe smugi punkt po punkcie przenoszą jej kształt do pamięci komputera”.

Już zbierzniak Freud mówił, że męski obraz kobiety oscyluje między kurwą i świętą, a ja nie znajduję lepszego komentarza do powyższego fragmentu.

Dalej jest o nieświadomym marzeniu o zdobywaniu kobiety i mazgajowate żale: „Ten łatwy, komputerowy seks, jaki wymyśliły nasze czasy, odebrał mężczyźnie jego główną, odwieczną przyjemność: przyjemność odgrywania przed każdą kolejną ofiarą roli swego życia”.

Skąd myśl, że „zdobywana” kobieta to ofiara? Mnie nie pytajcie, dla mnie to podejście godne ofiary, ale losu i własnej głupoty. Za żądzą seksu podąża z kolei żądza krwi, co też się mogło narodzić tylko w specyficznych umysłach, subtelnych jak niemiecki porno.

Pochwała inkwizycji

Piekara z kolei jest Remigiuszem Mrozem polskiego fantasy, któremu śni się nowa inkwizycja, o czym pisze dużo, a nawet bardzo dużo. W kapitalizmie popyt kreuje podaż, skoro są chętni na takie wynurzenia, to znajdzie się ktoś, kto się pochyla nad tymi, którym miłe jest hasło: Śmierć wrogom ojczyzny.

Sięgam po wydaną w 2003 r. powieść „Sługa Boży”. Groźne są już same motta, zacerpnięte z listu św. Pawła do Rzymian i Apokalipsy. Aczkolwiek osobiście, choć nie wielbię Bestii, wołałabym apokaliptyczną mękę – „pić wino zapalczywości Boga, przygotowane w kielichu Jego gniewu” i być katowaną „ogniem i siarką wobec świętych aniołów” – niż czytać wypociny Piekary.

Łatwiej powiedzieć, czego nie ma w książkach Piekary, niż wymienić, co jest.

Książka zaczyna się choćby od rozmowy głównego bohatera, Mordimera, z mistrzem rzeźników, Rakshilem. A jak się zgada dwóch facetów, to jasne, że będą rozprawiać o niewieście, choć oczywiście większość – zwłaszcza te, które ich odrzucają – to zwykłe szmaty. A takie trzeba ukarać.

Czarną owcą knoń facetów jest Elia, która dała kosza rzeźnikowi, co skłania Mordimera do następujących, skądinąd wielce znaczących, rozważań: „Elia była samotną, bogatą panią, niby poddaną prawnej opiece starszych braci, ale w rzeczywistości oni zanieczyli, jak im zagrała. A poza tym była odważna i zdecydowana. Myślała, że z jej pieniędzmi oraz pozycją może się nie bać Rakshilela. I to świadczyło, niestety, iż nie grzeszyła rozsądkiem. (...) Związka kiedy było się tylko mieszcza pozabawioną ustosunkowanego męża lub kochanka. A o jedno i drugie przy swej urodzie oraz pieniądzech mogła się bez trudu zatroszczyć. Cóż, lubiła widać swobodę, a to bywa zarówno przyjemne, jak i niebezpieczne”.

Piekarze w jego seksistowskim rozumku nie przychodzi do głowy, że jeśli kobiety ciągnie do silnych – fizycznie czy przez pozycję społeczną – mężczyzn, to dlatego, że doskonale sobie zdają sprawę, że są od większości mężczyzn słabsze, a nade wszystko mniej skłonne do stosowania przemocy. Więc jakaś ochrona bywa przydatna.

I nic tak nie przeraża miłośników patriarchy jak ceniąca swobodę kobieta, obiekt szczerzej nienawiści i skrytego pożądania. Bo powiedzmy sobie wprost, że przyoblekanie swych kuriozalnych – a niestety, dość powszechnych – wizji w szaty religijne, nadaje im pozory tego, że Bóg tak chciał.

Tylko co z tymi, które jak ja, wierzą nie w Boga, lecz w boginie? Odpowiedź polskich fantastyk jest banalna: na stos z czarownicami!

KATARZYNA KOENIG

REKLAMA

BOHDAN PIĘTKA
KRWAWY ZAŚLUBINY Z BAŁTYKIEM

JOANNA SARAPATA
MASZ TALENT, ZAJDZIESZ DALEKO

JAN GRABOWSKI
CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ W MARKOWEJ

JACEK PAŁKIEWICZ
NA TROPIE DINOZAUROW

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Watykanista Marco Politi

CZY FRANCISZEK ZMIENIŁ KOŚCIÓŁ

Czy Glapiński finansuje wojnę Putina?

Złoto głupców

Telewizja Trwam, bastion prawdy objawionej, doniosła, że profesor Glapiński, niczym król Midas, zamienia wszystko w złoto. Rezerwy NBP urosły z 450 do 480 ton. Cel – 500 ton.

Wówczas Polska zostanie złotym imperium, bijąc na głowę Bank Europejski, bo Uzbekistan i Tajwan już pobiła. Na wizji pokazali filmik z YouTube'a, na którym złoto Glapińskiego pnie się w górę niczym penis podczas erekcji. I podobno dzięki temu polskie rodziny są bezpieczniejsze. Mocna złotówka to sukces. Żeby było jeszcze weselej, Glapiński ogłosił konkurs dla rodzin. Temat: polskie złoto NBP Nagroda? Można to złoto zobaczyć na własne oczy.

Możliwość komentowania pod filmem została zablokowana przez Glapińskiego – i bardzo dobrze, bo przecież prawdziwa cnota żadnej krytyki nie potrzebuje! Jeszcze ktoś by śmiał podważać jego słowa i insynuować, że to, co opowiada, to zwykłe bajki.

NBP – czarna skrzynka

NBP to czarna skrzynka. Wieści stamtąd dochodzą tylko oficjalne, czyli z ust samego Glapińskiego. Rzecznika prasowego brak, bo poprzedni nie umiał trzymać języka za zębami. Wojciech Andrusiewicz stracił glapińskozaufanie. Podał się do dymisji. Następcę jak nie było, tak nie ma. Nikt nie jest godzien. W efekcie Glapiński sam przejął rolę swojego rzecznika i stał się jednocześnie głównym źródłem informacji o sobie i swoich działaniach jako prezesa NBP.

Oznacza to, że komunikaty Glapińskiego na temat Glapińskiego i jego decyzji są niemożliwe do niezależnej weryfikacji – na przykład w takiej

istotnej kwestii: czy NBP faktycznie zakupił deklarowane złoto. Niestety, nie udało nam się znaleźć żadnego niezależnego i obiektywnego świadka, który mógłby to potwierdzić. Trochę przesadzam – bo aż tak Glapiński chyba by nie kłamał, choć... kto wie?

Skąd pieniądze na złoto?

Pierwszą istotną kwestią jest, że rezerwy złota Narodowego Banku Polskiego nie wzrosły same z siebie. Złoto nie rośnie na drzewach ani jak grzyby po deszczu. Prezes NBP musiał więc je kupić. Zakupy złota NBP raportował dwukrotnie w ubiegłym roku – we wrześniu 21,8 ton, a w październiku 7,5 ton. W styczniu Glapiński informował, że zasoby złota NBP wynoszą 450 ton, a obecnie – 480 ton. Zakupy te realizowane są w warunkach poważnych strat NBP. W 2023 r. raportowano stratę na poziomie 20,8 mld zł. Danych za 2024 r. brak, ale „planowana” strata miała wynosić 7,4 mld zł. Zasadne pytanie do prezesa Glapińskiego brzmi: skąd NBP wziął pieniądze na tak ekstrawaganckie zakupy? Chodzi o 11,5 mld zł.

Ludzie lubią słyszeć o złocie – kojarzy się ono z bogactwem i bezpieczeństwem. Jednak w dzisiejszych realiach jest ono dla banków bardziej obciążeniem niż dobrodziejstwem. Zasadniczo przynosi zysk jedynie wtedy, gdy jego wartość wzrośnie.

Nie wypłaca dywidend, nie pomnaża kapitału, a co więcej – trzeba je magazynować i pilnować, żeby go nie ukradli. To kosztuje. Obecnie szacuje się, że jest to między 0,2 do 1,5 proc. wartości kruszcu. Przyjmując tę niższą wartość, daje to 350 mln zł rocznie.

skie prywatne płatne autostrady stają się najdroższe w Europie. Państwowe hajleje w Polsce są bezpłatne i taki też będzie wzmiankowany kawałek ze Śląska pod Wawel, ale dopiero za dwa lata, gdy Stalexportowi skończy się koncesja. Autostrady Wielkopolskie będą zaś mogły nas raczyć kosmicznymi podwyżkami do roku 2037.

● Mocny złoty nieco ten autostradowy skok cenowy zamortyzuje. Tani dolar i taniejąca ropa naftowa, powodują, że jazda standardowym autem staje się tańsza. Tego nie mogą powiedzieć osoby mające samochody elektryczne, bo prąd drożeje. Szczególnie ten w komercyjnych szybkich ładowarkach, co powoduje, że jak ktoś nie ma własnego przyłącza domowego, to nie dość, że płaci za elektryka dużo drożej niż za samochód spalinowy, to jeszcze „paliwo” ma droższe. Aby jednak Polakom chciało się chcieć mieć samochody na prąd, rząd daje na to dotację. Maksymalna dopłata do zakupu lub leasingu eauta wynosi 40 tys. zł, ale tylko dla osób fizycznych i jednoosobowych działalności gospodarczych. W tym roku państwo wesprze chińskich producentów elektryków kwotą 1,6 mld zł. A wesprze dlatego, że chińskie samochody na prąd, które gdzie indziej są sprzedawane za równowartość 60 tys. zł, u nas są po 100 tys. zł. Polski nabywca ma więc takie autko za tyle, co w innych krajach, chiński producent zaś zgarnia na czysto 40 tys. zł w prezencie od polskich podatników.

● Choć nie tylko polskich. Na to, co jest w polskim budżecie, zarabiali też w zeszłym roku Ukraińcy. 15,21 mld zł wyniosły bowiem wpływy państwa od emigrantów z Ukrainy. Ludzie ci stanowią dziś ok. 5 proc. pracujących w Polsce, głównie w sektorach przemysłu,

Pamiętamy lata 2011–2015. Złoto straciło wtedy około 45 proc. wartości, spadło z 1900 USD za uncję do około 1050.

Moskiewskie złotniki?

Kolejną istotną kwestią jest źródło, z którego Narodowy Bank Polski zakupił złoto. Na globalnym rynku transakcje tej skali zazwyczaj odbywają się za pośrednictwem London Bullion Market Association (LBMA) – kluczowej instytucji w handlu złotem inwestycyjnym.

Problem w tym, że LBMA w ostatnim czasie nie odnotowała ofert sprzedaży tak dużych nadwyżek złota, które ktoś chciałby spieniężyć jednym ruchem. Owszem, światowe wydobycie złota wynosi około 3,5 tys. ton rocznie, ale gdy nagle na rynku pojawia się oferta sprzedaży dziesiątek ton, powinno to wzbudzić zainteresowanie.

A tutaj dochodzi do intrygującej koincydencji. Jak donosi „The Moscow Times”, Rosyjski Fundusz Narodowego Dobrobytu znacząco opustoszał. Według źródeł gazety w ubiegłym roku zniknęło z niego ponad 100 ton złota, a Kreml nie wyjaśnił, gdzie się podziało. Rosyjskie media sugerują, że mogło trafić do Kazachstanu, skąd następnie, jako produkt lokalnego wydobycia, wyeksportowane zostało do Szwajcarii.

Robi się ciekawie – tam złoto znika, a w Polsce nagle go przybywa. Cała sytuacja wygląda co najmniej niefortunnie. Władimir Putin sprzedaje złoto, by finansować wojnę, a NBP bez mrugnięcia okiem kupuje bliżej nieokreślone rezerwy po historycznie najwyższych cenach. To tylko domysły, ale mamy naiwną nadzieję, że rzecznik prezesa NBP doktor Adam profesor Glapiński habilitowany raczy nam to wyjaśnić. Prawo prasowe mamy w rękę.

Dodruk pieniądza i inflacja

Ale przejdźmy od spekulacji do faktów – faktów dotyczących „dbałości” o wartość pieniędzy. Adam Glapiński, razem z Mateuszem Morawieckim i na polecenie Jarosława Kaczyńskiego, wpompował w rynek ponad 200 mld zł z Polskiego Funduszu Rozwoju i Ban-

ku Gospodarstwa Krajowego. To były pieniądze bez pokrycia w podatkach ani realnej wartości gospodarki – po prostu dodrukowane. Efekt? Ceny poszybowały w górę. Cztery lata temu kupowałeś paczkę papierosów za 11 zł, dziś płacisz 20 zł. Inflacja? Dwucyfrowa.

Dokładnie rok temu do sejmiku trafił wniosek o postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu za działania, które doprowadziły do okradania cię z wartości twoich oszczędności. Co się od tamtej pory wydarzyło? Nic. Posłowie PiS – polityczni koleśki prezesa NBP – blokują procedurę idiotycznymi pismami do prokuratury oskarżającymi Hołownię o rzekome przestępstwa.

Mocna złotówka – sukces czy katastrofa?

Mocna złotówka? Sukces? Ale chyba Deutsche Bundesbanku albo Rezerwy Federalnej? A dla nas? Katastrofa. Gospodarka stoi, inflacja galopuje, zbrojenia idą pełną parą. Mocna złotówka to gwóźdź do trumny polskiego eksportu. Zagraniczne towary zalewają rynek. Bo są tańsze. A polskie produkty drożeją za granicą. I nikt ich nie chce. Bravo Glapiński!

Dziękujemy za spadek produkcji w polskich sektorach nastawionych na eksport – meblarskim, motoryzacyjnym i AGD (tutaj to jest masakra, 2,9 tys. ludzi poszło na bruk). Polskie fabryki tracą rynki, zatrudnienie spada, bezrobocie rośnie.

Konkurs widmo

Prawie na koniec poruszmy tę drobną, ale istotną kwestię z filmiku w reżyserii i scenariuszu Glapińskiego. Otóż żadnego konkursu dla rodzin dotyczącego polskiego złota po prostu nie ma. Na stronie Narodowego Banku Polskiego nie znajdziemy żadnych informacji na ten temat. Potwierdza to nawet inteligentna wyszukiwarka Microsoftu, a także ja – choć, oczywiście, jestem o niebo mniej inteligentny – również nie natrafiłem na takie informacje.

Glapiński kontra Biblia

Glapiński (gorliwy chrześcijanin) i PiS wmawiają prostym ludziom od dekady, że „pieniądź to je to, co w życiu najważniejsze; bez nigo ani szczęścia, ani szacunku, ani nic, bo bez kasy toś ino byle kto!”...

Tyle że Biblia mówi co innego. „Łatwiej wielbładowi...” itd. Pamiętacie? Księga Koheleta też ostrzega przed miłością do mamony. A w Księdze Przysłów mądrość ceną bardziej niż złoto. Więc kto tu kłamie? Glapiński z PiS-em? Czy Pan Bóg? Naród powinien się zastanowić, komu wierzy.

ROBERT JARUGA

Życie w DOBROBYCIE

● Umacniany na siłę przez NBP złoty powrócił na poziomie kursów, które ostatnio widywano w trzecim kwartale 2021 r., kiedy dolar kosztował 3,78 zł, a w poprzednich czterech kwartałach płacono za niego 3,70 zł i mniej. „Umocnienie złotego wynika ze zbyt wysokich stóp procentowych względem struktury krajowej inflacji” – twierdzi część ekspertów, która, patrząc na ceny dóbr konsumpcyjnych i niektórych usług, dochodzi do wniosku, że „mamy po prostu deflację”, czyli sytuację, gdy ceny spadają. Ekspertem gratulować należy sokołego wzroku, dużo lepszego od ostrości widzenia zwykłych kupujących, którzy z zakupów na zakupy płacą coraz więcej.

● Kierowcy mają podobnie, bo za skorzystanie z trasy A2 na odcinku Nowy Tomyśl–Konin muszą becelować 6 zł więcej niż dotychczas. To dotychczas to okres od września, kiedy też była podwyżka o 6 zł. Spółka Autostrada Wielkopolska SA (AWSA) uzasadnia wzrost cen m.in. realizowanymi inwestycjami oraz stale rosnącymi kosztami utrzymania. Od 1 kwietnia kierowcy zapłacą też o złotówkę więcej za przejazd autostradą A4 z Katowic do Krakowa. Stalexport będzie sobie wieszował za 61 km już nie 16, lecz 17 zł. Obie te podwyżki powodują, że pol-

skowym, budowlanym, usługach oraz transporcie. Wyliczono też, że migranci z Ukrainy przyczyniają się do wzrostu polskiego PKB o 0,5–2,4 proc. rocznie. Na dodatek płacą więcej podatków i składkę ubezpieczeniowych, niż otrzymują świadczeń społecznych. Wartość wypłaconych świadczeń z tytułu programu „Rodzina 800 plus” na dzieci uchodźców wojennych z Ukrainy to 2,8 mld zł, co pokazuje, że ci, co szczują na Ukraińców, powinni nauczyć się liczyć.

● Większość remontujących mieszkania Polaków robi to za własną krwawicę, bo po kredyty na ten cel sięga zaledwie 10 proc. z nas. Szczupłość finansów jest też główną przyczyną zmiany zakresu remontu. A skoro nas nie stać na fachowców, to zakasujemy rękawy i sami bierzemy się do roboty. Samodzielnie najczęściej odświeżamy i wykańczamy wnętrza – 74 proc. oraz przeprowadzamy mniejsze naprawy i renowacje – 71 proc. Remontujemy najczęściej po to, aby nasze wnętrza wpisywały się w obowiązujące trendy – 59 proc. Na pierwszy ogień majsterkowiczów idą więc pomieszczenia takie jak sypialnia, gabinet, pokój dziecka i salon. Kiedy trzeba coś zmienić w kuchni lub łazience, poszukujemy fachowców – 75 proc. A ponieważ fachowcy są gotowi umawiać się na robotę najwcześniej za pół roku, to ludzie masowo korzystają przy remontach z porad z internetu. Fachowców to nie rusza, więc sami w sieci się nieszczególnie ogłaszają. Korzystają z systemu rekomendacji i tego, że kalendarz zleceń zawsze mają pełny. Dlatego mogą sobie pozwolić na wymyślanie cen, na które stać najbogatszych i tych z dwiema lewymi rękami.

● A że biednemu zawsze wiatr w oczy, po raz kolejny udowodnił ostatnio UOKiK, który wziął się za banki

i Biuro Informacji Kredytowej. Urzędowi wyszło, że stworzony przez BIK system oceniania zdolności kredytowej ludzi i przyznawanie im lub odbieranie punktów jest co najmniej dziwny. A to właśnie na te punkty patrzają banki, do których ludzie zwracają się o kredyty i pożyczki. Im zatem ktoś według BIK na niższą punktację, to banki taką osobę traktują surowiej i mogą z tego względu nie przyznać kredytu. Punktacja wiarygodności w systemie BIK odbywa się bowiem nie tylko na podstawie historii spłat kredytów i pożyczek, obecnego zadłużenia, liczby i rodzaju zobowiązań, ale także częstotliwości i liczby zapytań kredytowych. Im więcej zatem zapytań o czyjaś zdolność kredytową, tym niższa wiarygodność kredytowa takiej osoby. Głupie? Jasne, że głupie, bo jak człowiek złoży wniosek w kilku czy kilkunastu instytucjach finansowych, aby porównać ich oferty i wybrać najlepszą, to naraża się na istotne obniżenie oceny punktowej BIK, a tym samym negatywną ocenę jego zdolności kredytowej w całym sektorze bankowym. UOKiK zajął się tematem, bo napisał doń człowiek, który chciał zapoznać się z propozycjami kredytu konsolidacyjnego w kilku różnych bankach. Banki zaczęły o niego wypyttywać BIK, przez co w ciągu miesiąca istotnie obniżono mu punktację. Każde kolejne zapytanie prowadziło do dalszego obniżenia oceny, pomimo że konsument w żadnym z banków nie otrzymał odmowy udzielenia kredytu, a historia kredytowa nie wykazywała zależności w spłacie zobowiązań. A może pora skończyć z terrorem Biura Informacji Kredytowej? Całkiem prywatnej firmy, która niemal bez żadnego państwowego nadzoru ma dostęp do danych milionów ludzi i nie dość, że jest nastawiona wyłącznie na zysk, to jeszcze decyduje o życiu mnóstwa z nas.

TTJ

Uchodźcy od zmysłów

Konfederacja w pogoni za imigrantami (i rozumem)

Od dobrych kilkunastu lat nie ma w Polsce wyborów bez kwestii uchodźców oraz imigrantów. Ponieważ wybory są często, a sytuacja międzynarodowa niespokojna, temat jest grzany niemal na okrągło. Przoduje w tym Konfederacja, której elektorat stanowią w sporej części emigranci zarobkowi oraz ci, co – dorobiwszy się – z zagranicy wrócili i problem znają z autopsji. W walce z najazdem ciemnoskórej barbarii konfederaci zaczęli kasać nawet kler.

Lewaki z Caritasu

Podejrzenia o bycie zakamuflowaną opcją lewacką padły na Caritas Archidiecezji Katowickiej.

Wiadomo, że tam, gdzie pojawiają się pieniądze, można się spodziewać księży. Toteż nie dziwi, że

gdy w perspektywie pojawiły się unijne fundusze na centra integracji cudzoziemców (CIC), do walki o nie stanęły lokalne oddziały Caritas. Unia może być zła, imigranci jeszcze gorsi, ale jeśli z połączonych sił zła może wypłynąć dobro w postaci mamony

– grzech nie skorzystać.

Pod koniec ubiegłego roku okazało się, że za większość centrów ma odpowiadać Caritas, ponieważ najlepiej się do tego nadaje: ma odpowiednią infrastrukturę i doświadczenie.

Przedstawiciele innych podmiotów startujących w przetargach narzekali, że wymogi są jakby skrojone pod organizację kościelną.

A one po prostu mają wielowiekową tradycję w dojeniu kasy – duży może więcej. Gdy Kościół kat. bierze się za integrację cudzoziemców, to miej ich, Boże, w opiece, ale to inny temat.

Prawica dość konsekwentnie przemilczała fakt, że za CIC bierze się organizacja kościelna, podważając równocześnie ogólną zasadność istnienia takich ośrodków. Pisowcy zaś skromnie pomijają fakt, że początki projektu unijnego przypadają na czasy ich rządów, a obec-

na władza tylko go kontynuuje. Zgodnie ze swoją narracją suflowali społeczeństwu, że pod przykrywką osławiania przybyszów z polskością otwierana jest furka dla niekontrolowanego napływu obcych nam kulturowo „nachodźców” zdolnych plądrować lechickie domostwa i gwałcić tutejsze białogłowy.

– W czasach kiedy Polacy popadają w ubóstwo, rząd chce wydawać miliony na centra integracji cudzoziemców. Tutaj coś jest bardzo, bardzo nie po kolei – wieszczył wice-marszałek Krzysztof Bosak. Tak jak w głowach jego elektoratu.

Lekarze i inżynierzy

Jego partyjni koledzy w walce o czystą rasowo Polskę poszli jeszcze dalej i zaatakowali nie tych czarnych, co trzeba. Jak zwykle wszystkim pomylili i narobili wiele hałasu o nic.

Działacze Konfederacji zapowiedzieli protest pod siedzibą katowickiego Caritas w akcie sprzeciwu przeciwko wysiedleniu polskich seniorów na rzecz afrykańskich dryblasów. Śląski działacz partii Mentzena Michał Bielczyński nagrał i umieścił w mediach społecznościowych alarmistyczny filmik, w którym wezwał do obywatelskiego oporu przeciwko uczynieniu z katolickiego domu seniora ośrodka dla nielegalnych imigrantów.

– To właśnie do tego miejsca ma być przewiezione siedem tysięcy „lekarzy oraz inżynierów” z Francji i Niemiec, którzy nie znaleźli tam dla siebie miejsca. Mają oni zająć miejsce seniorów, którzy na chwilę obecną przebywają w Caritasie – informował Bielczyński, pokazując należącą do Caritas nieruchomość.

Dyrektor Caritas Archidiecezji Katowickiej ks. Marek Konsek szybko zdementował rewelację działacza Konfederacji.

– Dotarła do mnie informacja, że tu ma zamieszkać siedem tysięcy osób, migrantów,

uchodźców. To nie jest prawda. To jest nasz dom, Dom św. Marcina, hotel na 40 osób, który jest prowadzony przez Zakład Aktywności Zawodowej czy przez osoby z niepełnosprawnościami. Mamy 40 miejsc noclegowych i nikogo więcej raczej nie przyjmiemy – mówił ksiądz Marek w nagraniu przez siebie kontrfilmiku.

Petycja i orędzie

Następnie panowie nagrali jeszcze jeden wspólny filmik, żeby czasem jacyś rozpędzeni narodowcy nie przyszli protestować pod kościelną placówkę. Gdy ksiądz tupnie, to i konfederata się zastanowi. Ale śląscy działacze prawnicy nie odpuszczają. Wiedzą, że jak nie w tym miejscu, to w innym powstanie w końcu CIC, a oni na integrację pozwolić nie mogą.

Protest ostatecznie odbył się 17 marca pod Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego w Katowicach, ale tłumów nie zgromadził. Narodowcy przy okazji wystosowali petycję do władz województwa, w której wzywają, aby „nie dopuścić do utworzenia na terenie Katowic, jak i całego województwa żadnych ośrodków dla imigrantów nielegalnie przekraczających granicę, a następnie wnioskujących o azyl, a w szczególności do braku partycypacji samorządu w ewentualnych programach rządowych”.

Sympatycy Konfederacji znani są z poszukiwania imigrantów tam, gdzie ich nie ma – wystarczy choćby wspomnieć „patrole” w Przemysłu w 2022 r. Na ich integrację z rozsądkiem póki co nie mamy co liczyć.

W czasie gdy konfiarze oprotostowują powstawanie ośrodków dla cudzoziemców i klepią petycję, w Watykanie niejaki Franciszek pisze w orędziu na Wielki Post: „Nie możemy zaś wspominać biblijnego exodusu, nie myśląc o wielu braciach i siostrach, którzy dziś uciekają przed nędzą i przemocą i idą w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie i swoich bliskich. Dobrym ćwiczeniem wielkopostnym byłoby skonfrontowanie się z konkretną rzeczywistością jakiegoś migranta lub pielgrzyma i przyzwolenie, by nas to zaangażowało, aby odkryć, czego Bóg od nas oczekuje, abyśmy byli lepszymi wędrowcami do domu Ojca. To jest dobry „egzamin” dla wędrowcy”...

Nie posadząmy prawdziwych katolików i jeszcze prawdziwszych Polaków o czytanie czegośkolwiek poza własnymi petycjami, więc raczej nie czytają też papieża, zwłaszcza takiego. Na szczęście dla prawników to już końcówka tego pontyfikatu.

MATT KOBOSKO



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jezuita i kobita

Ślub łamiący śluby

Odejścia księży z „firmy” nieco już spowszedniały, a większą sensacją jest dziś to, że ktoś idzie do seminarium niż zrzucenie sutanny. Popyt na byłych duchownych robiących za ekspertów od Kościoła także się zmniejsza, bo rynek jest przesycony. Sensację, zwłaszcza w kręgach kościelnych, udało się jednak wzbudzić Krzysztofowi Dzieńkowskiemu, który odszedł z zakonu jezuitów dla dupy i razem dorabiają do tego ideologię.

Oboje są „katolickimi influencerami”, czyli celebrytami w pobożnej części internetu. On występował w sieci jako „Krzychu Jezuita”, ona zaś – Klaudia Domańska – przedstawia się jako „Boża misjonarka zakorzeniona w Kościele Katolickim”, która „dzieli się apostołsko-proroczą perspektywą na Kościół”. Jak widać, Krzychu jest mniej patetyczny, a po wspólnych występach w mediach widać, że to Klaudia nosi w tym związku spodnie.

Krzysztof Dzieńkowski ogłosił na początku marca, że opuszcza zakon jezuitów i zamierza się ożenić. Nie był wprawdzie jeszcze księdzem, ale złożył już śluby, z których muszą go zwolnić władze zakonu, aby mógł nadal funkcjonować w strukturach Kościoła. Jezuici kształcą się na księdza długo, trwa to ponad 10 lat, każdemu może się znudzić. Gdy w jego towarzystwie zjawiała się atrakcyjna kobieta, poczuł wiosnę, ale nie była to bynajmniej „wiosna Kościoła”.

Tak oblubienica wspomina pierwsze spotkania z oblubieńcem w wywiadzie dla Wirtualnej Polski: „Poznałyśmy się na rekolekcjach w ciszy trzy lata temu, ale bliżej zaprzyjaźniłyśmy się dwa lata później, uczęszczając razem do protestanckiego kościoła w Warszawie. Krzysztof miał zgodę przełożonych, a nawet opłacali mu naukę. Było to jawne, że chodzimy do tej szkoły razem. Co więcej, ja również za pozwoleniem przełożonych nocowałam w zakonie podczas trwania zajęć i wszyscy o tym wiedzieli. Chodziliśmy razem na zajęcia, wzrastaliśmy razem duchowo”.

Wzrastali, zwłaszcza on, nie tylko duchowo. W podcaście „Wprost Przeciwnie” eksjezuita z wybranką opowiadał, jak to w warszawskim klasztorze wielokrotnie modlili się nad zakonnikami, którzy mieli problem z pornografią i masturbacją. Sam Dzieńkowski przyznał, że do 35. roku życia regularnie spowiadał się z walenia konia.

Ma to już za sobą. Niewątpliwie znajomość z Klaudią wyzwoliła go od grzechu i potrzeby masturbacji.

Ponieważ Krzychu nie stracił wiary albo nie bardzo ma pomysł na nowe życie, musi te sprzeczności ze sobą, nomen omen, pożenić. Ogłoszeniu zerwania ślubów zakonnych i przygruchania sobie narzeczonej towarzyszy spektakl usprawiedliwiający ten krok.

No bo odszedł to odszedł, na chuj drażny temat. Ale znana facjata i nieodparta dziś potrzeba dzielenia się każdym pierdnięciem w mediach społecznościowych spowodowały, że sprawa stała się publiczna i wielu uznało za stosowne się do niej odnieść. A i sami

narzeczeni nie unikają blasku fleszy, rysując perspektywę małżeństwa z misją, które będzie służyło Bogu i ludziom swoim natchnionym gładzeniem. Na dziś oficjalna geneza ich związku jest taka, że tak chciał Duch Święty, zaś „Bóg stworzył seks i jest on dobry”.

Jezuici od razu odcięli się od swojego byłego podopiecznego, który tuż przed metą zawrócił i pobiegł w drugą stronę. Przestrzegali owieczki, aby nie wierzyły mu ślepo, bo to nie tylko uwodziciel, ale i zwodziciel. „Mając na uwadze zamieszanie, jakie wprowadzają jego internetowe wpisy, Socjusz Prowincjała będzie nadal próbował umówić się z nim, aby dla dobra wiernych, którzy darzą go zaufaniem, wstrzymał aktywność w internecie do czasu uregulowania swojego statusu” – napisali zakonnicy w oświadczeniu. On zaś aktywności nie wstrzymał, a wręcz wzmożł.

Krzychu i Klaudia nie są prekursorami, nie takie przypadki zna historia Kościoła. Marcin Luter ożenił się przecież z zakonnicą. W Kościele Katolickim Mariawitów zniesiono celibat, wprowadzono zaś koncept „małżeństw mistycznych”, czyli związków zakonnic i zakonników, z których to konsumpcji rodzą się dzieci bez grzechu pierwotnego będące początkiem „nowej ery świata”. Aż dziw, jakie cyrki ludzie czasem odstawiają, żeby bez wyrzutów sumienia poruchać.

ŁP

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Kiedyś świat będzie patrzył na aborcję tak, jak obecnie patrzymy na niewolnictwo i holokaust.

ks. Janusz Chyła, X, 14 marca

■ Muzeum „Pamięć i Tożsamość” w Toruniu poświęcone św. Janowi Pawłowi II jest obecnie sabotowane przez Ministerstwo Kultury nowego rządu. To działanie o charakterze antychrześcijańskim, którego celem jest wymazanie lub przynajmniej umniejszenie znaczenia wielkiego papieża Polaka. Jesteśmy świadkami manifestowania negatywnego stosunku obecnej władzy do Kościoła katolickiego, prawdziwej duszy Narodu, niemalże laickiego i ideologicznego wykluczenia, jak za najciemniejszych czasów dominacji komunistycznej.

Marco Ferrini, prezes Międzynarodowego Centrum im. Jana Pawła II w Rimini (Włochy), Radio Maryja, 13 marca

■ Pomysł wprowadzenia zakazu spowiedzi nieletnich to jest pomysł na dechrystianizację Polski, pomysł na walkę z Kościołem. To się oczywiście nie uda, nawet jeżeli wprowadziliby taki zakaz, to my, katolicy, będziemy praktykowali swoją religię, najwyżej niezgodnie z prawem, bo mamy do tego prawo naturalne, Boże.

Piotr Uściński (PiS), Radio Maryja, 11 marca

■ Naprawdę potrzebna jest wielka mobilizacja – najpierw wierzących Polaków – aby położyć kres grzechom nietrzeźwości popełnianym w naszej Ojczyźnie. Grzechy te osłabiają naród, niszczą go, niwelują szansę na pomyślny rozwój i na spełnienie powołania do bycia rzeczywistym królestwem Chrystusa i Matki Najświętszej.

ks. bp Tadeusz Bronakowski, AKSiM Toruń, 11 marca

■ Gdybyśmy chcieli podporządkować się ustawie o „mowie nienawiści”, musielibyśmy wymazać całe strony Biblii, które nie mieszczą się w katalogu treści „tolerancyjnych”. Cały szereg słów Chrystusa Pana, które jednoznacznie piętnują zło moralne, kwalifikuje się do wyrzucenia. Musielibyśmy wyrzucić nauczanie Kościoła, musielibyśmy wyrzucić Katechizm. Musielibyśmy zrezygnować ze swojej tożsamości jako katolicy, jako Kościół.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, PCh24TV, 13 marca

■ Księża w więzieniach za cytowanie Pisma Świętego o grzechu sodomskim, rodzice za sprzeciw wobec pedałstwa w szkole, każdy z nas za nabijanie się ze zboków na marszu równości. Żeby tak się nie stało, podpisz petycję o weto do niebezpiecznej ustawy. Teraz!

Krzysztof Kasprzak, Fundacja Życie i Rodzina, X, 12 marca

■ Z nawróceniem wiąże się żal i pragnienie wyrugowania grzechu na zawsze. Aby wykluczyć grzech, trzeba odrzucić wszystko, co się z tym wiąże, np. mentalność światową, przywiązanie do wygody i bogactwa. Potem poszukujemy Boga i Jego królestwa.

abp Józef Kupny, X, 15 marca

■ Niechaj w tym świętym czasie modlitwy (...) rozbrzmiewa skierowane do Boga wołanie w intencji nauczania religii w szkołach i odsunięcia niebezpieczeństwa moralnej deprawacji dzieci i młodzieży. (...) Wiemy, że za tymi programami, których korzenie tkwią w tzw. szkole frankfurckiej o jednoznacznych korzeniach marksistowskich, znajdują się ogromne pieniądze, które płyną ze strony Unii Europejskiej (...), jak również od różnych tzw. organizacji pozarządowych. Na kłamstwa odnośnie Boga i człowieka nigdy bowiem pieniędzy nie brakowało ani też, niestety, nie brakuje.

abp Marek Jędraszewski, list pasterski na Wielki Post, 5 marca

KLECHA

Zdezorientowani Trumpem

Amerykański rząd na wojnie z pucią

Rozporządzenie podpisane przez Trumpa tuż po objęciu prezydentury nosi tytuł „Obrona kobiet przed ekstremizmem ideologii gender i przywrócenie biologicznej prawdy w rządzie federalnym”. Jedną z pierwszych konsekwencji rozporządzenia są zmiany w amerykańskich paszportach, które od 2022 r. oferowały trzy opcje w kategorii płci: męską, żeńską i X – inną. Wybór ten nie musiał być zgodny z płcią widniejącą w innych dokumentach danej osoby, a zmiana identyfikacji nie wymagała przedstawienia żadnej dokumentacji medycznej.

Rozporządzenie Trumpa nałożyło na wszystkie agencje zarządzające więzzeniami, schroniskami dla migrantów i innymi „intymnymi przestrzeniami” obowiązek, aby dokonywały ich podziału zgodnie z płcią fenotypową. Oczywiście konsekwencją rozporządzenia jest też zakaz udziału osób transpłciowych w sportach kobiecych.

Zaczęła się zadyma, a sądy stanowe już jęły kwestionować te przepisy. Na pierwszy ogień poszły te o nakazie przeniesienia odsiadujących wyroki transpłciowych kobiet do męskich zakładów karnych. Sędzia uznał, że nowe przepisy mogą zagrażać bezpieczeństwu osób transpłciowych, których w amerykańskich więzieniach są 2 tys.

Polska prawicowa ekstrema strasnie się z amerykańskich przepisów ucieszyła. Na swoich profilach prawacy zaczęli sławić Trumpa, który wreszcie wziął się za „pedaństwo”. To zaś pokazuje, że „prawdziwi Polacy” są idiotami i – podobnie jak część biskupów – do jednego worka wrzucają pojęcia z zupełnie innych bajek. Tymczasem rozporządzenie Trumpa z orientacjami seksualnymi nie ma nic wspólnego. Na tyle, że ich przedstawiciele pominieli nowe prawo zupełnym milczeniem. Bo przecież nie po nich przyszli.

Szybki przegląd amerykańskich portali różnych orientacji pokazał, że na żadnym z nich nie pojawił się protest przeciwko nowym przepisom.

Pociąg aspołeczny

Osoby aseksualne nie odczuwają pociągu seksualnego. Tak mają i tego się zmienić nie da. Świat postrzega je jako nienormalne, co je boli. Dlatego od lat walczą, żeby medycyna zaklasyfikowała je jako osobną orientację seksualną. I stwierdziła, że jak ktoś nie chce uprawiać seksu, to nie jest chory.

Statystyki mówią, że tak ma co setna osoba. Osoby aseksualne dzielą się. Na aseksualne ortodoksyjnie, znaczy takie, które nie robią dobrze nawet same sobie, bo ich libido tego nie wymaga. I na aseksualne liberalnie, według których masturbacja jest w porządku. Ich doktryna zakłada, że aseksualizm to brak pociągu do innych osób, a nie do orgazmu.

Ponieważ połowa niechęcych seksu chciałyby mieć dzieci, to ich głównym postulatem jest stworzenie prawa adopcyjnego preferującego osoby aseksualne. Bo to gwarantowałoby społeczeństwu, że adoptowane dzieci nie będą narażone na pedofilię.

Dla aseksualnych niechęcych dzieci najważniejsza jest tolerancja państwa dla ich orientacji, przejawiająca się w braku podatku od osób niemających dzieci, czyli bykowego. Rozporządzenie Trumpa jest więc dla każdego aseksualnego całkowicie obojętne.

Przedstawicielkę i przedstawiciela autoseksualności kręci własne ciało. Podniecenie dopada taką osobę, gdy widzi kawałek siebie albo całe swoje odbicie w lustrze. Osoby autoerotyczne nie potrzebują nikogo. Nie masturbują się przy komputerze, ale używają zabawek z sex shopów. Z racji podniecania się samym sobą nie zalicza się ich do osób aseksualnych. W przeciwieństwie do nich nie stowarzyszą się i nie organizują. A skoro tak, to jako jedyna orientacja niczego od państwa i społeczeństwa sobie nie wina. I dlatego zagadnienie, czy płcie są dwie, czy kilka, zupełnie ich nie rusza.

Medycyna uznaje, że biseksualne są osoby, które kręcą tak faceci, jak i kobiety. I jak dopada je uczucie do osoby płci odmiennej, to zasadniczo niczego od państwa i społeczeństwa nie chcą. Jednak gdy zostaną pchnięte strzałą Amora w ramiona osoby o takich samych genitaliach jak one, to ogląd świata przez osobę biseksualną się zmienia. I obiema rękami podpisuje się ona pod postulatami osób homoseksualnych. Natomiast to, czy osoby biseksualne w amerykańskiej celi będą siedziały z kobietą, czy mężczyzną, w zasadzie nie robi im różnicy.

Osoby demiseksualne to takie, które mogą odczuwać pociąg seksualny jedynie po zbudowaniu silnej więzi emocjonalnej z drugą osobą – muszą się zakochać. A ponieważ zakochują się niełatwo, to często deklarują się jako aseksualne. Gdy jednak znajdą drugą połówkę, to opuszczają szeregi swojej orientacji i stają się osobami homo- lub heteroseksualnymi i przejmują postulaty tych orientacji. Środowiska demiseksualne mają w zasadzie jeden postulat: żeby wszyscy się od takich osób odczepili. A ponieważ Trump się ich nie czepia, to nic do niego nie mają.

Heteryk penitencjarny

Z nowym amerykańskim rozporządzeniem żadnego problemu nie mają osoby grayseksualne, czyli rozłamowcy spośród aseksualnych i demiseksualnych. Wyróżnia ich to, że seks uprawiają z rzadka. Oczywiście i wśród tej orientacji są podziały. Grayseksualne są osoby litoseksualne, które mogą odczuwać pociąg seksualny, ale nigdy nie dążą do jego realizacji. Są też nimi osoby frejseksualne, które mają ochotę na seks z kimś obcym lub dopiero co poznanym, ale jak przychodzi co do czego, to pożądanie takiej osoby znika. Tym, co uszczęśliwiłoby grayseksualnych, byłaby zmiana mentalności społeczeństwa, wprowadzenie kar za zadawanie pytania: „kiedy wreszcie zmienisz stan cywilny?” i wykreślenie ze słowników medycznych schorzenia o nazwie oziębłość płciowa.

Heteroseksualni to wciąż największa, choć od lat zmniejszająca się w zachodnich statystykach, orientacja seksualna. Wzorcową osobą heteroseksualną odczuwa bowiem pociąg wyłącznie do osób płci odmiennej. Heteroseksualność to też jedyna orientacja, której niektórym przedstawicielom często goszczącym w amerykańskich więzieniach podoba się to, że dzięki Trumpowi, kolega spod celi może mieć piersi, a jak ma się więcej szczęścia – to nawet i pochwę. Na wpisy heteryczek gloryfikujących rozporządzenie z powodu możliwości trafienia w miejscu odosobnienia na koleżankę z penisem, trafić się nie udało.

Coraz liczniejszą grupą, która stara się o uznanie ich za odrębną orientację, są incele. Dzielą się ich na osoby, które nie chcą się wiązać, oraz takie, którym się to nie udaje, więc nawet nie próbują. Dla tego incel realizuje się autoerotycznie. Ale w przeciwieństwie do osób autoseksualnych garnie się do innych osób o tej orientacji, próbując wspólnie z nimi walczyć o prawo do seksu. Czy to z osobami tej samej, czy odmiennej płci.

Incele są przekonani, że życie seksualne jest niesprawiedliwe. Doświadczenie do seksu mają bowiem jedynie osoby atrakcyjne fizycznie lub te o wysokim statusie majątkowym lub społecznym. Dlatego zaspokojenie potrzeb seksualnych powinno im zapewnić państwo lub społeczeństwo

poprzez zorganizowanie im partnerów seksualnych. I to nie mniej niż jednego tygodniowo. Radykalny odłam inceli postuluje depenalizację gwałtu. Sprowadzać by się to miało do tego, że osoba poproszona przez incela o seks, nawet gdyby odmówiła, to i tak mogłaby zostać przezeń wykorzystana seksualnie.



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

A ponieważ Trump nic o realizacji praw inceli nie mówi, to mają go gdzieś.

W kupie różniej

Poliamoryści stanowią związki więcej niż dwuosobowe w dowolnych układach. Dwóch mężów i żona, dwie żony i mąż czy dwie żony i dwaj mężowie. Albo multiplikacje tego – choć to niemal nieistniejąca rzadkość.

Poza tym poliamorycznym małżeństwem równie dobrze mogą być trzy – lub więcej – panie, albo – także – panowie. Gdy do tego dodać moż-

liwość bycia w takim stadle osób biseksualnych, to konfiguracje stają się nieograniczone. Najważniejsze jednak, że członkowie takiego megamałżeństwa darzą się wzajemnym uczuciem i pożądaniem, lojalnością ekonomiczną oraz tą w stosunku do wychowywanych dzieci.

Poliamorystom marzy się, aby państwo zalegalizowało ich układy choćby w formie związków partnerskich. Mogliby wtedy dziedziczyć po współmałżonkach czy zostawić nieopodatkowane spadki dzieciom. Mogliby też żądać alimentów od kogoś, kto stałoby z dzieckiem opuścił. No i kwestia uznania za matki i ojców dziecka wszystkich członków poliamorycznego stada też jest dla tej orientacji istotna nader. Jak się zatem można domyślać, na forach amerykańskich poliamorystów o dwupłciowym prawie Trumpa nikt się nawet nie zająknął.

Osoby homoseksualne stanowią ok. 6 proc. społeczeństwa, a ponieważ mogą być szefami organizacji parafaszystowskich, konserwatywnych i innych mocno prawicowych, to takie na wszystko co robi Trump, patrzą z zachwytem. Trzeba jednak pamiętać, że osoby homo odczuwają parcie seksualne na przedstawicieli i przedstawicielki własnej płci. I dlatego przeprowadzono wśród nich zasadniczy podział. Na homo panie, czyli lesbijki, oraz homo panów, znaczy gejów. Jeśli jednak lesbijka uprawiała seks z gejem, to wtedy żadne z nich homoseksualne nie jest.

Postulaty osób homoseksualnych są znane najbardziej. Żądają małżeństw jednopłciowych, ścigania osób dla homoseksualnych niemiłych, lekcji tolerancji dla nich w szkołach oraz możliwości adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

Innymi zadaniami tej orientacji są domy dla osób homo wywalanych z rodzinnych domów oraz – w przypadku lesbijek – prawo do refundowanego przez państwo zapłodnienia in vitro zarodka powstałego z DNA obu partnerów. A w najgorszym wypadku chciałyby, aby zwracano im koszty skorzystania ze zwykłego banku spermy.

O antydyskryminacyjnych postulatach – takich jak umożliwienie im podejmowania pracy, gdzie chcą, mimo deklarowanej orientacji – nie ma co wspominać. Trzeba natomiast napomknąć o tym, że coraz głośniejszy staje się postulat parytetu. Czyli, żeby we władzach wszystkich instytucji publicznych była reprezentowana osoba o orientacji innej niż hetero. No i to, żeby firmy mówiące źle o osobach homoseksualnych nie dostawały zleceń publicznych. A ponieważ Trump jest przeciwko parytetom, bo ponoć ceni kompetencje, to poza homoseksualnymi konserwatystami większość z nich przeciwko nowemu rozporządzeniu jednak protestuje. Wychodząc z założenia, że jak dziś zabrali prawa osobom transpłciowym i nikt nie protestował, to jutro zrobią to samo z gejami, incelami i biseksami, czy kto im tam wpadnie w oko. Bo kto Trumpowi zabroni?

TOMASZ BOROWIECKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ W miniony wtorek odbyła się rozmowa telefoniczna między prezydentami Rosji i USA. Moja dzisiejsza rozmowa telefoniczna z prezydentem Putinem była bardzo dobra i produktywna. Uzgodniliśmy natychmiastowe zawieszenie broni w zakresie ataków na obiekty energetyczne i infrastrukturę krytyczną, zakładając, że będziemy błyskawicznie pracować nad całkowitym zawieszeniem broni i ostatecznie nad zakończeniem tej okropnej wojny między Rosją a Ukrainą. Ta wojna nigdy by się nie rozpoczęła, gdyby był prezydentem! Omówiliśmy wiele elementów planu pokojowego, w tym fakt, że giną tysiące żołnierzy, a zarówno prezydent Putin, jak i prezydent Zelenski chcieliby, aby się to zakończyło. Ten proces jest teraz w bardzo zaawansowanej fazie, a my, miejmy nadzieję, dla dobra ludzkości wykonamy nasze zadanie! – oznajmił Trump w mediach społecznościowych.

★ Sekretarz generalny NATO i wieloletni premier Holandii Mark Rutte oznajmił, że gdyby wojna się skończyła, Europa, krok po kroku, a także Stany Zjednoczone, krok po kroku, przywróciłyby normalne stosunki z Rosją. Polski komentarz zadrażlił w posadach – nie tylko Biały Dom, lecz także kwatera główna NATO została opanowana przez rosyjskich agentów.

★ Miłośnicy Ukrainy już postawili krzyżyk na Stanach Zjednoczonych i jedyny ratunek widzą w „armii europejskiej”. Ich nadzieje rozwiewa na łamach „Newsweeka” Maciej Nowicki: *Analitik ds. bezpieczeństwa Brooks Tigner zapowiedział, że [armia europejska] musiałaby się zmierzyć z «mnóstwem technicznych, prawnych i administracyjnych różnic nie do pogodzenia, a na końcu wszystko będzie się rozbiło również o najbardziej przyziemne rzeczy, takie jak prawa żołnierzy. Silne związki zawodowe reprezentujące personel wojskowy w bogatych krajach skandynawskich gwarantują, że ich żołnierze cieszą się poziomem komfortu fizycznego, wysokim wynagrodzeniem i dostępem do opieki medycznej, o których ich odpowiednicy w biedniejszych krajach*

UE mogą tylko pomarzyć. Czyje przepisy unijne regulowałyby wspólną europejską armię? I jak byłoby to finansowane?». Lista potencjalnych rozbieżności jest wręcz nieskończona. Dlatego dzień, w którym Armée Française, Bundeswehra, Wojsko Polskie etc. zostaną rozwiązane i wchłonięte przez europejskie siły zbrojne, nie nadejdzie w przewidywalnej przyszłości. Jakoś nas to nie martwi.

★ W felietonie pt. „Histeria wojenna” redaktor naczelny „Przeglądu” opisuje aktualny stan polskiego społeczeństwa: *Jako naród znaleźliśmy się między zanikającym, wręcz szczątkowym pacyfizmem a galopującą histerią militarną. Tak widzę stan nastrojów Polaków po obróbkę propagandową, którą nam zaplikowali politycy. Od prawej do lewej. Z wyjątkami, które można bez wysiłku policzyć. Widać, że jako zbiorowość lubimy chodzić tam, gdzie nas prowadzą. Choć powszechnie wiadomo, że histeria niewiele ma wspólnego z mądrością. A jeszcze mniej z rozsądku. Może jednak patrzę na te wojenne nastroje zbyt surowo. Bo trudno im nie ulec, jeśli od wielu tygodni całą dobę słyszymy o bezpieczeństwie. I o zagrożeniu wojną, która jest tuż za progiem. Słowa bezpieczeństwa i zagrożenie padają na przemian. By mobilizować ludzi wokół flagi biało-czerwonej. Czyli wokół władzy – pisze Jerzy Domański.*

★ 5 marca 2025 roku w Kijowie odbyły się uroczystości z okazji 85. rocznicy decyzji władz sowieckiej Rosji o rozstrzelaniu polskich oficerów i jeńców wojennych, wziętych do niewoli po wybuchu II wojny światowej – donosi oficjalny portal ambasady RP w Kijowie. Personel dyplomatyczny powinien chyba wiedzieć, że decyzji nie podjęły władze „Sowieckiej Rosji” lecz ZSRR. Na czele tych władz stał Gruzin – Józef Stalin, a dowódcą NKWD był pochodzący z gruzińskiego ludu Megrełow Ławrientij Beria.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Widziałeś film o Kuleju? – pytają znajomi. Ja znałem Jurka – odpowiadam.

Przepraszam, czy tu biją?

Fakt, że osobiście znałem dwukrotnego złotego medalistę olimpijskiego w boksie, na moich rozmowach robi duże wrażenie. Tym bardziej że przemilczam fakt, iż nie byliśmy bardzo bliskimi znajomymi czy Boże broń kumplami lub przyjaciółmi. Jurek – mówiliśmy sobie po imieniu – należał do ludzi bardzo towarzyskich, zwłaszcza przy kieliszku, więc taki stopień zażyłości nie był niczym nadzwyczajnym. Wielu osobom mówił po imieniu. Taki po prostu był.

Nie zapomnę naszej rozmowy w należącej do niego restauracji na Starym Mieście w Warszawie.

– Jurek – zauważyłem – w finale w Meksyku z Kubańczykiem Enrique Regüerferem biliście się tak, jak gdyby od wyniku zależało wasze życie, a przecież chodziło tylko medal.

– Ja naprawdę walczyłem o życie – odpowiedział, wznosząc do ust kolejny kieliszek. – Gdybym nie przywiózł z Meksyku tego złotego medalu, poszedłbym do pierdła.

W Zakopanem, mieście głównem...

Sprawa wyglądała tak: w Zakopanem, na Krupówkach, doszło do ostrej bójki trenujących pod Giewontem bokserów z milicjantami. Któryś z milicjantów głośno nazwał pięściarza Stanisława Dragana łysym chujem i to wystarczyło. Koledzy nie mogli tego puścić płazem. Chwilę później walczyło już kilkanaście osób. Bokserzy oczywiście byli górą. Jeden z milicjantów upuścił nawet na chodnik pistolet, co zostało odnotowane w protokole z zajścia. Protokół sporządzono bez problemu, bo w pewnym momencie bójka przeniosła się pod kolumnę, do której panowie w granatowych mundurach salwowali się ucieczką. Na czele pogoni parł do przodu Jurek.

Szykowała się grubsza sprawa, bo – ci, co pamiętają tamte czasy, nie mają wątpliwości – podniesienie ręki na milicjanta równało się podniesieniu ręki na władzę ludową. To nic, że najlepsi polscy pięściarze – w tym Jurek – trenowali w milicyjnych klubach, więc formalnie także byli milicjantami. To były takie czasy – znów odwołam się do pamięci starszych Czytelników – że nasi sportowcy amatorzy byli górnikami, hutnikami, kolejarzami, ale także wojskowymi i milicjantami. Ich więź z zawodem polegała na tym, że w zakładach pracy pojawiali się tylko po odbiór pensji; gdyby istniały wówczas przelewy bankowe, w ogóle by się tam nie pojawiali. Takim właśnie milicjantem był Jurek Kulej, zawodnik Gwardii Warszawa.

Jak to się w ogóle stało, że Jerzy Kulej po całym tym zajściu pojechał z polską reprezentacją na igrzyska olimpijskie do Meksyku – tym bardziej że to nie był jedyny taki incydent? Sprawę załatwił legendarny trener Feliks Stamm.

Stamm, zwany Papą, był wielką postacią, nie tylko sportu. Ten niewysoki i cichy w życiu prywatnym pan trzymał żelazną ręką bokserką kadrę; nie tylko stał za gradem medali zdobywanych przez podopiecznych, ale wychował ich na mądrych, nieźle wykształconych i przyzwoitych, choć charakternych ludzi. Prześledźcie, co działo się z nimi po zakończeniu karier, zrozumiecie jak wielkim człowiekiem był „Papa”

Stamm. Jego sława daleko wykraczała poza boks, czy w ogóle poza sport. Z jego zdaniem liczyli się wszyscy, także partyjni decydenci.

Zobaczyłem „Papę” Stamma jako młodziutki dziennikarz „Przeglądu Sportowego”. Przychodził do naszej redakcji, odwiedzał swojego przyjaciela, znanego dziennikarza piszącego o boksie Jerzego Zmarzlika, a my staraliśmy się podsłuchiwać ich rozmowy. Było to trudne. Zamykali się w gabinecie Zmarzlika i niewiele słyszeliśmy.

„Papa” Stamm sprawił, że wykluczenie Kuleja z reprezentacji zostało zawieszone. Zawieszone, ale nie anulowane. Wiadomo było, że jeśli sukcesu w Meksyku nie będzie – a w grę wchodził tylko złoty medal, który Stamm obiecywał – nie tylko powróci zawieszenie w prawach zawodnika, ale czeka pięściarza sprawa sądowa.

Te, mały, chcesz w dziób?

Nawiasem mówiąc, Jurek Kulej nie był jedynym polskim bokserem, który podczas igrzysk olimpijskich walczył o coś więcej niż tylko o medal. Henryk Średnicki w 1978 r. został mistrzem świata w kategorii muszej. Pierwszym i – o ile się nie mylę – jedynym polskim amatorskim mistrzem świata w boksie. W 1980 r. wyjechał na igrzyska olimpijskie do Moskwy. Za złoty medal obiecano mu zgodę na przejście na zawodowstwo. Doszedł do ćwierćfinału, na zawodowstwo nie przeszedł.

Czytelnicy przyzwyczaili się już zapewne, że w moich opowieściach nie mogę powstrzymać się od dygresji. Podczas pobytu w centrum szkoleniowym w Cetniewie niefortunnie zażartowałem sobie z Heńka (też byliśmy na „ty”): „Te, mały, chcesz w dziób?”. Za chwilę gwiazdy pokazały mi się przed oczami. Swoją maleńką jak u lalki piąstką Heńka trafił mnie prosto w spłot słoneczny. Do dziś pamiętam, żeby nie żartować sobie z bokserów, choćby mierzyli tylko 160 cm i startowali w wadze muszej.

Wracam do głównego tematu. Film „Kulej, dwie strony medalu” jest znakomicie zrealizowany. Reżyser Xawery Żuławski dołożył starań, żeby wszystko wyglądało realistycznie, doszła do tego świetna gra aktorska. W dodatku film trafił na swój czas, bo dzięki srebrnemu medalowi Julii Szeremety w Paryżu ludzie w Polsce przypomnieli sobie, że istnieje coś takiego jak boks.

Oczywiście niektórych szczegółów mam prawo nie pamiętać, wydaje mi się jednak, że pewne sprawy zostały w filmie nieco podretrusowane, zaznaczone w formie aluzji. Oto scena z Balu Mistrzów sportu. Miano najlepszego sportowca roku otrzymuje rajdowy mistrz Europy Sobiesław Zasada. Kulej jest wściekły, bo myślał, że ten laur przypadnie jemu. Do pierwszego tańca rusza rajdowiec z żoną bokserkiego mistrza. Kulej podchodzi do tańczącej pary, puka Zasadę w ramię, i mówi: „Odbijany”. Widz wyczuwa w tej scenie napięcie, może jednak nie wie, że w tym czasie sportowa polska szepiała o romansie łączącym pana Sobiesława z Heleną, żoną Kuleja.

W ogóle sprawy męsko-damskie zostały tylko zaznaczone w filmie – a przecież my, dziennikarze sportowi, dobrze wiedzieliśmy, że wierność nie była naj-

istotniejszym spoiwem związku Kulejów. Z obu zresztą stron.

O ile pominięcie pewnych spraw osobistych w filmie można zrozumieć, o tyle z innym faktem trudno się zgodzić. Po obejrzeniu obrazu Xawerego Żuławskiego odnosi się wrażenie, że Jerzy Kulej – a ściślej dowodzeni przez niego ludzie – niechłubnie zapisali się podczas rozpędzania studenckich protestów w 1968 r. Prawda, bokser awansował w milicji, na koniec kariery dorobił się nawet stopnia kapitana, ale jak naprawdę wyglądała jego praca, już napisałem. Owszem, bił – ale rywali w ringu, a nie pałką studentów.

Gwiazdy ringu i ekranu

Ja poznałem Jerzego Kuleja już po zakończeniu przez niego kariery sportowej, przy kieliszku, co było najpopularniejszą formą spędzania wolnego czasu w PRL i na ten temat wolę się wypowiadać, zamiast tropić zgodność szczegółów filmowych z życiem. Kulej pił, sam przyznawał, że jest alkoholiczkiem. Co ciekawe – alkohol nigdy nie przeszkadzał mu w pracy. Po zakończeniu kariery sportowej często komentował w telewizji spotkania pięściarzy. Nigdy nie słyszałem, żeby zasiadł przed mikrofonem nietrzeźwy lub choćby pod gazem, a musiałbym to wiedzieć; takie informacje w gronie dziennikarzy zawsze wymienialiśmy, zresztą bez cienia zgorszenia, bo kto bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Kulej ma w dorobku znakomitą rolę w nagrodzonym na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku (1976 r.) kryminale „Przepraszam, czy tu biją?”. Partnerował mu Jan Szczepański, złoty medalista olimpijski z Monachium w kategorii lekkiej, chyba najbardziej elegancko walczący człowiek w historii polskiego pięściarstwa. No, ale to są już czasy późniejsze niż te opowiedziane w filmie.

Za moich młodych lat boks w naszym kraju był potęgą, choć największe sukcesy zostawił już za sobą. Pięściarstwo miało liczne powiązania z kulturą. „Przepraszam czy tu biją?” nie jest jedynym dobrym filmem z udziałem gwiazd ringu.

W filmie „Bokser” główną rolę – Tola Szczepaniaka – zagrał Daniel Olbrychski. Aktor niezwykle starannie przygotowywał się do odegrania swojej

postaci, przebywał w słynnym ośrodku przygotowań bokserkich w Cetniewie, gdzie korzystał z rad samego „Papy” Stamma. W Cetniewie zresztą nakręcono część scen.

Gdyby przenieść tamte czasy w obecne, pięściarze prezentowaliby się na ściankach razem ze swoimi żonami lub partnerkami. Nawiasem mówiąc, małżeństwo Jurka Kuleja nie przetrwało próby czasu. Związał się z Alicją (Alusią). Nie wiem, czy ostatecznie zostali małżeństwem, w każdym razie Jurek mówił o niej jako o żonie.

Partnerka Kuleja bardzo o Jurku dbała, zwłaszcza podczas choroby, gdy trzeba było być obok niego w dzień i w nocy, pomagać w najprostszych czynnościach. Kulej wezwał znanego prawnika, a wcześniej szermierza Ryszarda Parulskiego i zmienił testament. Dom na Mazurach zapisał partnerce, co później stało się przyczyną procesu cywilnego wytoczonego przez syna Waldemara, z którym mistrz miał – nazwijmy to tak – skomplikowane relacje. Przyznaję, nie wiem, czym proces się skończył – i czy w ogóle się skończył, bo wiadomo, z jaką szybkością działają zreformowane przez PiS sądy.

Wszystko to, o czym teraz piszę, powinno moim zdaniem zachęcić filmowców do kontynuowania tematu tak udanie zaczętego przez Xawerego Żuławskiego. Życiorys Jurka Kuleja to temat nie na film, ale na cały serial.

Od żuła po inżyniera

W minioną niedzielę ruszyła wznowiona po 22 latach polska liga bokserka. Startuje w niej osiem drużyn, jeden mecz każdej kolejki transmitowany jest w TVP Sport. Nie odmówiłem sobie zobaczenia spotkania Legia vs Imperium Boxing Wałbrzych. Zobaczyłem naprawdę kawałek dobrego amatorskiego pięściarstwa – co ważne, najczęściej w wykonaniu młodych chłopaków. No, technika nie taka jak za „Papy” Stamma, ale było sporo ładnych lewych prostych i ciosów na wątrobę. Wniosek może być tylko jeden: mamy zdolną młodzież.

Oczywiście przypomnieli mi się ligo-we mecze z moich czasów. Choć pisanie o boksie nie należało do moich głównych redakcyjnych obowiązków, jeśli tylko czas pozwalał, chodziłem do Hali Gwar-

dii, a dzięki dziennikarskiej legitymacji mogłem oglądać walki, siedząc tuż przy ringu. Cóż to były za emocje, zwłaszcza gdy spotykały się ze sobą stołeczne kluby Legia i Gwardia.

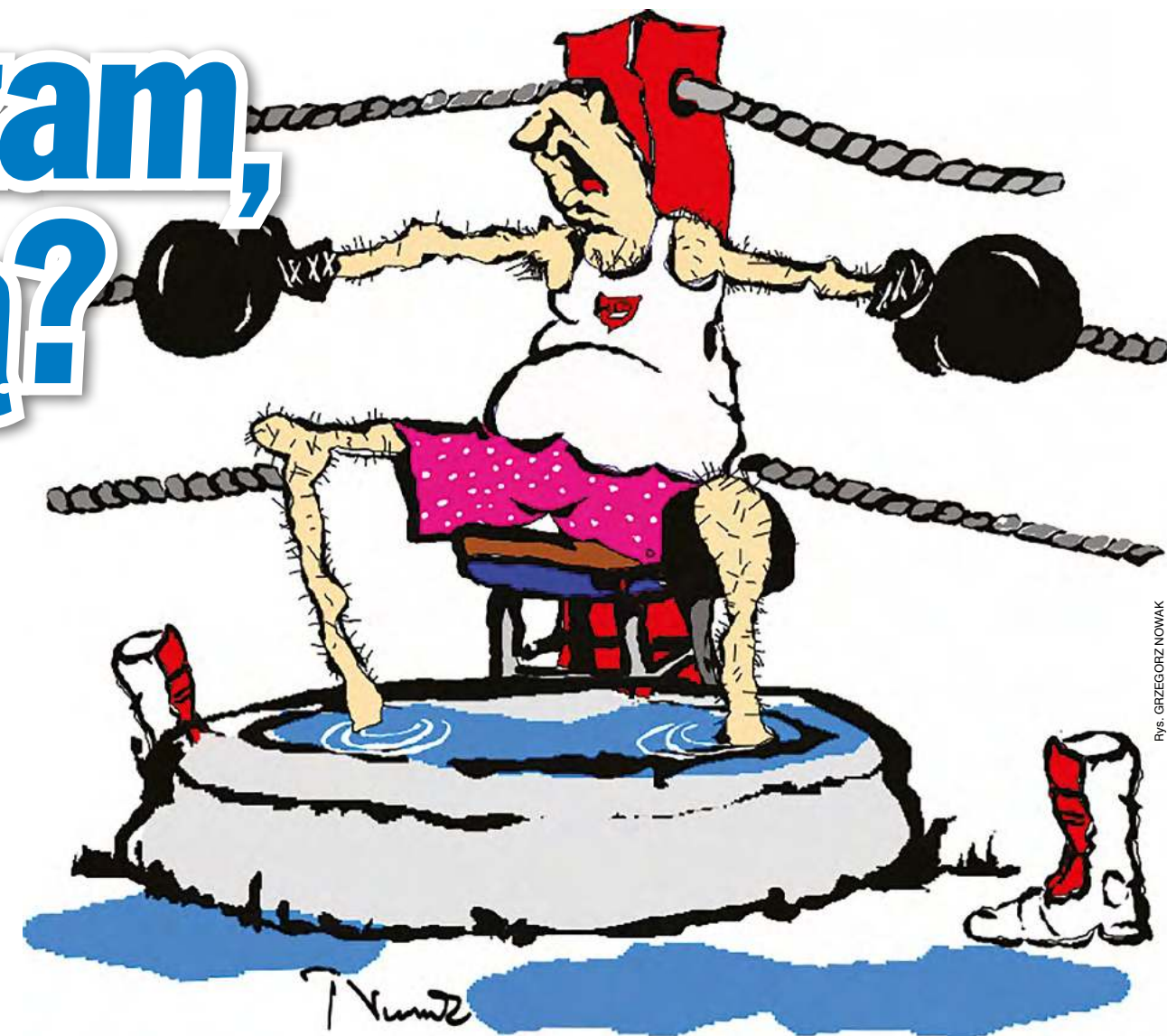
Publika w Hali Gwardii była niesamowita. Obok lekarza i inżyniera siedzieli przedstawiciele różnych robotniczych zawodów i typki spod budki z piwem. Zacierali się wszelkie różnice klasowe. Wszyscy reagowali głośno, bezlitośnie, dowcipnie, na widowni panował egalityzm,

o jakim Włodzimierz Czarzasty z Nowej Lewicy może tylko opowiadać w wywiadach telewizyjnych, które najwyraźniej bardzo lubi. Zasada była jedna: nagradzono odwagę i technikę, bezlitośnie wygwizdywano wszelkie objawy tchórzstwa. Była to jednocześnie publiczność sprawiedliwa, równo oceniała swoich, jak i przyjezdnych. Już nigdy w sporcie z czymś takim się nie spotkałem.

W minioną sobotę oglądałem pierwszy mecz wznowionej ligi bokserkiej. Wszystko ładnie i pięknie, były przemówienia oficjeli, skapo odziane ring girls, efektowne światła. A wokół ringu? Nie, nie ma rozkrzyczanych kibiców. Przy zastawionych okrągłych stołach elegancko ubrane damy i panowie. Zerkając na walczących, nadziewają na widelce coś smakowitego.

Tamta wspaniała epoka chyba bezpowrotnie minęła. Trochę jej żal.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



Rys. GRZEGORZ NOWAK



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Micińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 19.03.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Łotry – mruknął prezes Kaczyński.

Gdyby potrafił korzystać z mobilnego internetu, to sprawdziłby w komórce, jak się nazywały. Jeden to, zdaje się, Dyzma...

Dyzma to Bodnar, bez dwóch zdań. Dobry człowiek, który został łotrem. A drugi?

– Jak miał na imię drugi łotr? – zapytał prezes. – Ten zły.

– To był jakiś dobry łotr? – zainteresował się kandydat Nawrocki. – Czy to nie oksykodon?

Co za debil, pomyślał Kaczyński i odparł: – Tak, był. Miał na imię Dyzma.

– Kariera Nikodema Dyzmy – rzekł Nawrocki, porozumiewawczo mrugając okiem. – A wie pan prezes, kto jeszcze miał na imię Nikodem?

Nie czekając na odpowiedź, kandydat wyrecytował: – Nikodem Skotarczak, pseudonim Nikoś. Bohater mojej książki.

Co za debil, znów pomyślał Kaczyński, odnosząc wrażenie, że otaczają go sami debile. Weźmy takiego Sasina albo Błaszczaka.

A, właśnie, Błaszczak! Prezes wybrał numer jego telefonu.

– Jak nazywały się łotry? – spytał. – Jeden to Dyzma, a drugi?

Błaszczak, co oczywiście, nie wiedział, ale obiecał sprawdzić i oddzwonić. Oddzwonił po 30 sekundach: – Getas.

– Imię podobne do nazwiska Tusk, nieprawdaż? – zażartował Kaczyński, ale Błaszczak, jak zwykle, nie złapał dowcipu.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział sztywno.

Prezes wyłączył telefon i zwrócił się do Nawrockiego: – Getas to imię podobne do nazwiska Tusk, co?

– To już nie Nikodem? – zdziwił się kandydat. – Nie Dyzma? Ani nawet nie Nikoś?

– Co za debil – wymamrotał Kaczyński. – A do tego ma poczucie humoru jak rozwielitka.

– Słucham? – nie zrozumiał Nawrocki, który w ogóle niewiele rozumiał.

– Mówiłem do siebie – oświadczył prezes. – Czasem odczuwam ochotę na pogawędkę z kimś bystrym...

– Z kimś bystrym... – powtórzył kandydat i zajarzył: – A to dobre, panie prezesie! Bardzo dobry żart. Z kimś bystrym...

– Dwa łotry wyruszyły na krwawą łowy – rzekł Kaczyński. – Dokonały jednego mordu. Będą następne.

Nawrocki mimowolnie zadrżał.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA z sentymentem wspomina złote czasy lewicy. **JOANNA SENYSZYN** też, choć bez sentymentu.

Wołk-Łaniewska: – Pamiętasz Andrzeja Pęczaka?

Senyszyn: – Nieszczególnie. Klub liczył wtedy 200 posłów. A co?

– A bo mi się ostatnio przypomniał, jak czytałam o Andrzeju Szejni. Wiesz, to Andrzej, i to Andrzej, jeden baron łódzki, drugi kielecki...

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale szefów struktur obecnej lewicy już nikt nie nazywa baronami.

– To prawda, i nawet mi trochę smutno z tego powodu. Wołałam baronów eseldowskich niż platformianych, mimo wszystko. Wracając wszakże do Andrzejów: jakąś taką urodę mają zbliżoną. Okrągłusie mordki pełne samozadowolenia...

– Pęczakowi samozadowolenie przeszło.

– I podejrzewam, że Szejni też przejdzie, raczej wcześniej niż później. Przypomnijmy: Pęczak dostał trzy lata za łapówki od Dochnała.

– W tym słynnego Mercedesu z firankami. To te firanki w Mercedesie najbardziej poruszyły lud pracujący... Pęczak był pierwszym posłem III RP, który trafił do pudła. Można powiedzieć, że przetarli szlak dla wielu pisowców.

– Z tym że – popraw mnie, jeśli się mylę – fakt, iż jest on osobą nieortodoksyjnie uczciwą, był sejmową tajemnicą poliszynela na długo przed tym, jak prokuratura postawiła mu zarzuty. Co nie przeszkodziło Millerowi w zrobieniu go szefem komisji kontroli państwowej...

– Szefowie partii często mają słabość do nieortodoksyjnie kryształowych podwładnych, bo lubią mieć haki na tych, których awansują.

– Coś w tym jest... Tych dwóch wybitnych Andrzejów lewicy łączy to, że kiedy stali się obiektem ataku mediów, ich partyjni szefowie rzucili się w obronę... Czytałaś reportaż o Szejni w „GW”?

– Kto nie czytał! Ale z atakiem mediów przesadziłaś. Trudno, żeby dziennikarze nie opisywali przekrętów ludzi władzy. A w tym grupa Czarzastego nie ma sobie równych. Jeden bidulek, zresztą prawnik i podsekretarz stanu u Bodnara, nie wiedział, że na urlop nie jeździ się służbową limuzyną i nie płaci za benzynę służbową kartą. Ministra od równości, chcąc mieć jakiś sukces, zrównała swój licencjat z magisterką, ale zli ludzie nie docenili jej wysiłków. Z kolei minister nauki nie wiedział, bo i skąd, że nie powinien donosić znajomemu rektorowi, co o nim piszą pracownicy, zwłaszcza jak proszą o interwencję i dyskrecję.

– Akurat Wieczorka można o tyle zrozumieć, że na informowaniu przełożonego – w osobie Czarzastego – zrobił karierę...

– A teraz Szejna. Pod względem wszechstronności bije partyjnych kolegów i koleżanki na głowę. Chłop do wypitki i do wybitki. Do tego oszczędny: rachunku za biuro nie zapłaci, pracowników bierze tylko na zlecenie, kilometrówki maksymalnie sobie rozpisze...

– To przedstawiciel gatunku, który mnie frustruje najbardziej: gównojad pospolity.

– Akurat on to raczej poselski.

– Posłowie też miewają pospolite przywary. Co innego przytulić 22 bańki i prysnąć na Węgry. To jest, jako żywo, fantazja. Choć podejrzewam, że Marcin R. nie przytulał dla siebie...

– A skąd ci taki pomysł przyszedł do głowy?



– A bo przeczytałam sobie ostatnio książkę „Opus” Garetha Gore’a, serdecznie polecam. Nie wynika z niej, żeby numerariusze Opus Dei mieli prawo do jakiegokolwiek własnego majątku, organizacja wysysa ich do cna.

– Jakoś mi się nie chce wierzyć...

– A ja uważam, że książka jest całkowicie wiarygodna; posłuchaj tylko, co Opus Dei napisało w odpowiedzi...

– Słucham.

– „Książka »Opus« przedstawia fałszywy obraz Opus Dei oparty na zniekształconych faktach, teoriach spiskowych i ewidentnych kłamstwach”. I jeszcze sekta wytknęła, pełna oburzenia, że „ani autor, ani wydawca nie pozwolili Opus Dei na zapoznanie się z rękopisem przed publikacją”. Co zabawne, książka wyszła w USA październiku 2024 r. i, o ile się orientuję, nie ma jeszcze polskiego wydania – ale dementi zostało starannie przetłumaczone na polski. I to mniej więcej wtedy, kiedy Romanowskiemu uchylano immunitet.

– To jest głośny przypadek nożyc, które się odzywają po uderzeniu w stół.

– Dokładnie tak sobie pomyślałam. Ale nawet w tym dementi nie ma stwierdzenia, iż „nieprawdą jest, jakoby” członkowie organizacji mieli obowiązek nosić kolczatkę na udzie, biczować się i całować podłogę. I nie, to nie są wymysły Dana Browna, tylko codzienność numerariuszy. I numerariuszyc, które skądinąd wykonują pracę niewolniczą i są werbowane w wieku lat 14, tak żeby – kiedy skończą 18 i mogą oficjalnie wstąpić do sekty – miały mózgi wyprane do czysta i bez wahania podpisywały wszystko, co im się podłoży. W tym rezygnację z zarobków za wykonywaną pracę i testament na rzecz Opus Dei. Wracając do podministra Szejny: wziąć 100 kafli za kilometrówki i nie wpaść na to, żeby ludzimi, co cię wożą własnymi samochodami na spotkania, zaproponować zwrot kasy za benzynę – to gównojadstwo klasy ekonomicznej. Choć wiceminister spraw zagranicznych ma ponoć wyszukany gust...

– A skąd wzięłaś taką informację?

– W „Wyborczej” napisali, że – tu cytuję – „gustuje w winie”. Zuch. Choć przewodniczący Czarzasty zapewnia, że Szejna jest niepijący... Co się śmiejesz?

– A bo myślałam, że to taki dowcip jest...

– Ależ skąd. Czarzasty poszedł w tej sprawie nawet specjalnie do Piaseckiego. No, może niespecjalnie poszedł, ale specjalnie pokreślił. Że jak on jeszcze pił alkohol – „na przyjęciach gdzieś” – to od niego było czuć, ale od Szejny to nigdy...

– Jak ktoś jest nawalony i ziele alkoholem, nie czuje wody od innych. Ale chyba aż takich bzdur Czarzasty nie mówił?

– Czekaj, zapisałam sobie: „Pan minister Szejna jest moim zastępcą i jest wybitnym politykiem, przez 25 lat nigdy go nie widziałem pijanego i to mówię bardzo uczciwie”...

– To uczciwość na miarę Czarzastego. Nawet mnie specjalnie nie dziwi, że w jego wywodzie tylko jedno jest prawdą: Szejna jest wiceprzewodniczącym partii i robi wszystko, żeby się już nie wygrzebała spod progu. Ale po kolei: nie jest ministrem, nie jest nikim wybitnym, a wszyscy – oprócz Czarzastego – częściej widywali go w stanie wskazującym niż trzeźwego. Na wieczeniach głosowaniach w sejmie bardzo unikałam siadania blisko Szejny, żeby się nie upić od jego oddechu...

– A głowę masz nie od parady, nadmienię.

– Nie wiem, czy dziękować, czy się zarumienić. A gdybyś się zastanawiała, co łączy Czarzastego z Szejną, to jest to megalomania. W 2019 r., kiedy Szejna po raz pierwszy w życiu dostał się do sejmiku z wynikiem 4,27 proc. głosów w okręgu, czyli jak polityk lokalny, tak mówił w Radiu Kielce: „Jestem wzruszony, że poprowadziłem Lewicę jak marszałek Piłsudski – też socjalista – do powrotu do niepodległości”.

– Ale teraz ty to sobie ze mnie żartujesz?

– Gdzieżbym śmiała.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI